O ile estetyka bada podmiotowe i przedmiotowe warunki wzruszeń estetycznych, o tyle dostatecznych wskazówek dostarczą wymienione dzieła psychologiczne. Zresztą pozostawiam ją zupełnie do uznania panów, zarówno jak i filozofię religii: ta ostatnia wikła się z teologiją i względami wyznaniowymi; są dzieła traktujące filozofię religii ze stanowiska katolickiego, protestanckiego, greckokatolickiego i nawet ateistycznego. To rzecz ściśle osobistych wierzeń i inklinacyj nie zaś nauki. Nauka religię może uważać jako fakt istniejący, badać ją pod względem historycznym i porównawczym, pod względem psychologicznym i socyjologicznym. Te właśnie stanowiska roztrząsane są w „Zasadach socyjologii" Spencera; nadto można wskazać Maxa Müllera „Nauka porównawcza religii," Tylora: „Primitiv culture," te mianowicie rozdziały, w których mówi o rozwoju pojęć religijnych; zresztą M. Guyau: „L' irréligion de l'avenir" (2. wydanie 1887). W tej pięknej książce znajdują się wszystkie ważniejsze wskazówki i zaznaczone są wybitniejsze poglądy, tego przedmiotu dotyczące. Ostateczne wnioski Guyau zbliżone są do tych, które wyznaje Lange w swojej „Historyi filoz. materyalistycznej" i, jak sądzę, są raczej poetyczne, niż naukowe.

Do informacyj doraźnych, których moglibyście panowie w czasie studyjów potrzebować, najważniejszymsą gruntowne podręczniki logiki formalnej i historyi filozofii. Co do pierwszej — dobrze byłoby mieć pod ręką polski przekład Aleks. Boina „Logika indukcyjna i dedukcyjna" (2 tomy); co do drugiej — Ueberwega „Grundriss der Geschichte der Philosophie" (3 tomy, wyd. 7.).

Oto i wszystko. Muszę tylko nadmienić, że najzgubniejszym wrogiem myśli i nauki jest przekonanie, jakoby po załatwieniu się z jednem lub kilku dziełami w jakimś przedmiocie, posiadło się sam przedmiot. Żadna nauka, a tembardziej filozofija nie jest skończoną i zawsze do najtrudniejszych zadań należy dokładne odgraniczenie tego, co rzeczywiście wiemy, od tego co jest problematycznem, tylko mniemaniem szkoły, kierunku lub danej osoby. W dziełach systematycznie obejmujących tę lub ową naukę, szereg zagadnień odnośnych przedstawia się zazwyczaj w pewnem powiązaniu, jako całość skończona; ale zato materyjał danej nauki występuje tam w oderwaniu od tej roboty drobiazgowej, od tych sporów i wątpliwości, które w danej chwili rzeczywiście zajmują umysły specyjalistów. Pojedyncze dzieło systematyczne zawsze jest czemś w rodzaju kłębka gładko zwiniętego, w którym dość ująć jeden koniec nitki, aby ją rozwinąć do końca bez żadnych przerw i węzłów.

Nauka żywa, konkretna, przez tysiące umysłów uprawiana, błądząca i poprawiająca się, bynajmniej taką nie jest. Możnaby ją raczej przyrównać do drzewa, którego korzenie są powikłane, a gałęzie, oddzieliwszy się od pnia głównego, dzielą się na gałązki i pędy, zakończone pączkami, z których niewiadomo jeszcze, co i w jakim kierunku się rozwinie. Trzeba o tem dobrze pamiętać i, skoro się pragnie posiąść prawdziwe wyobrażenie o stanie nauki, należy się starać o ile to możliwe poznać nietylko jej pnie, lecz i te jeszcze zielone zawięzie, w których się najenergiczniej objawia proces rozwoju i życia. Filozofija nie jest to lub owe dzieło, albo i szereg dzieł wybranych, lecz jest nią w każdej chwili żywa praca tysięcy umysłów, objawiająca się w dziełach, w artykułach, w sporach, w całym tym skomplikowanym warsztacie, który się nazywa wiedzą ludzką.

Po takiem z konieczności treściwem załatwieniu się z pytaniem: co czytać należy? możemy przejść do pytania: jak należy czytać?

Z listu pańskiego widzę, że zamierzyliście panowie pracować zbiorowo, czyli wyniki osobistych nasamprzód studyjów przenosić następnie pod postacią referatów na wspólne zebrania i poddawać je dyskusyi w celu wzajemnej w kształceniu się pomocy.

Nie ma, sądzę, potrzeby referowania dzieł całych rozdział po rozdziale: wymagało by to zbyt dużo czasu. Wystarczy, gdy się z każdego dzieła obierze dwie lub trzy kwestyje bardziej zasadnicze i te opracuje się gruntownie, rozdzieliwszy referaty pomiędzy chętnych referentów.

Z doświadczenia osobistego przyszedłem do przekonania, że debaty nad referetami rzadko prowadzą do skutków wartościowych, jeżeli nie ma osoby, któraby potrafiła energiczną, rozumną i doświadczoną ręką kierować dyskusyją, i w razie potrzeby stanowczo zapanować nad nią, z jednej strony wykazując przyczyny jej bezowocności, z drugiej — wskazując właściwą drogę, na której zrozumienia i porozumienia szukać należy. I tu jednak musimy jakoś radzić i ewentualny brak kierownictwa osobistego zastąpić karbami organizacyi zbiorowej. Za bezwzględnie konieczne uznaję następujące trzy normy, jako rękojmię, że się nie zboczy na manowce dyskusyj jałowych i pożytek osiągnie.

1) Jedynym bezpośrednim celem referatów i dyskusyj nad ich treścią ma być dokładne zapoznanie się z poglądami danego autora. Wobec tego wszelka krytyka poglądów stanowczo się wyklucza: wszystko zmierza do ustalenia gruntownej znajomości poglądów danego autora za pomocą informacyj, zestawień tekstów, wyjaśnień.

2) Każdy referent danej kwestyi z pewnego dzieła bezwarunkowo powinien całe dzieło przestudyjować tak, aby dokładnie zdawać sobie sprawę ze stosunku, w jakim kwestyja referowana do całości zostaje, i aby być w stanie w razie potrzeby udzielić innym pozytywnych informacyj i wyjaśnień, bezpośrednio na tekstach studyjowanego dzieła opartych.

3) Każdy zabierający głos w dyskusyi powinien także znać dokładnie dzieło, którego referat dotyczy. Ci zaś z pomiędzy obecnych, którzy dzieła nie znają, mogą tylko zadawać w przepisanym porządku pytania, zmierzające do wyjaśnienia poglądów studyjowanego autora, ale czynnego udziału w dyskusyi brać nie mogą, o ile nie są wstanie argumentacyi swojej oprzeć na po-

zytywnym materyjale, z tekstu rozbieranego dzieła zaczerpniętym.

Warunki te, jak rzekłem, uważam za nieodzowną rękojmię pożyteczności referatów i dyskusyi nad niemi. Faraday powiedział: „Kto pragnie myśleć dobrze, ten przedewszystkiem musi się poddać tyranii cudzej myśli.“ Dyskusye krytyczne w kółkach akademickich prawie powszechnie bywają bezowocne, jeżeli jeszcze nię prowadzą do zwad i rozstroju. Trzeba pierwej zdobyć pewne miminum wiedzy gruntownej i dobrze się w niej oryjentować, aby się już z dobrym skutkiem ważyć na krytykę poglądów danego specyalisty. Jednem z najtrudniejszych, i ze względu na skutki, jednem z najbardziej wdzięcznych zadań dla studyującego, jest usiłowanie zająć w zupełności stanowisko czytanego autora i na każdym kroku zmierzać do gruntownego zrozumienia, o co mu chodzi. Nie zbijać nasamprzód trzeba, lecz nic nie zaniechać, aby go sobie wyjaśnić, aby poglądy jego usprawiedliwić i uzasadnić, albo za pomocą argumentów bezpośrednio z dzieła jego zaczerpniętych, albo pośrednio z tegoż dzieła wysnutych. Gdy się już tak dalece w myśl autora wżyje i zapanuje nad nią, że się wie, co on mógłby na każdy zarzut ze swego stanowiska powiedzieć, dopiero wtedy pora na krytykę, która najlepiej gdy bywa dziełem osobistych badań i rozmyślań, nie zaś zbiorowych debatów.

Wymieniłem dzieł kilkanaście i sądzę, że przy innych zajęciach pracę zapoznania się z niemi możnaby systematycznie rozłożyć na trzy lub cztery półrocza, zwłaszcza, że niektóre książki są nie wielkie i dość łatwe, inne zaś mogą być przedmiotem dwóch lub trzech referatów o kwestyach bardziej dla danego autora zasadniczych, oczywiście na tle znajomości całego dzieła.

Życząc Panom z serca dobrej woli i wytrwałości w doprowadzeniu pięknego ze wszech miar przedsięwzięcia do skutku. mogę nadto zapewnić Panów, że gdybyście zażądali odemnie jakichś dalszych wyjaśnień tej pobieżnej notatki, albo wogóle jakichkolwiek informacyj w toku już pracy Waszej potrzebnych, nie będę szczędził żadnych usiłowań, aby Wam po koleżeńsku dopomódz, o ile mi na to moje wiadomości i doświadczenie pozwolą.

Lipsk. 13 Lutego, 1889 r.

Z szacunkiem

Ad. Mahrburg.

Teorya ewolucyi i paleontologia.

(Na podstawie Prof. M. Neumayra: »Die Stämme des Thierreiches«)

Napisał

Tadeusz Wiśniowski.

(Dokończenie.)

Z drugiej jednak strony, wychodząc z mylnego założenia, że zjawiska ewolucyi w ogóle nie dadzą się wytłómaczyć na zasadzie praw Darwina, a więc w sposób jedynie racyonalny, stworzono teoryą, na mocy której tendencya do ewolucyi byłaby w jakiś sposób ciemny i niewytłómaczony wprost związana ze zjawiskami życia, innymi słowy, ciągle objawiającą się właściwością wszystkich istot uorganizowanych bez wyjątków. Jeżeli jednak teorya tego rodzaju miałaby być prawdziwą, musiałyby badania paleontologiczne i ontogenetyczne wykazać, że ewolucya we wszystkich grupach systematycznych roślin i zwierząt ciągle, bez przerwy istniała i istnieje. Dane tymczasem paleontogiczne i t. d. wykazują fakta wprost przeciwne, a konieczność przyjęcia jej w obec nie dających się zaprzeczyć zjawisk ewolucyi odpada, jeżeli przyjmiemy ewolucyą w tych granicach, na jakie zgodziliśmy się, a w jakich objawia się ona rzeczywiście, odpada dlatego, że wytłómaczyć możemy ją bardzo dobrze właśnie teoryą doboru naturalnego.

Przypatrzmy się więc przedewszystkiem bliżej, jak i o ile ewolucya istot organicznych objawia się w kolei tych olbrzymich odstępów czasu, które nazywamy geologicznymi epokami.

Że w pewnych granicach istniała ona i istnieje, za tém przemawia już na pierwszy rzut oka cały materyał tego archiwum przyrody, z którego geolog swoim młotkiem, a górnik kilofem wydobywa coraz nowe dokumenta, świądczące o odległej przeszłości naszej ziemi.

W epokach geologicznych najstarszych, pojawiają się najpierw same rośliny skrytokwiatowe, później dopiero jawnokwiatowe, a i tu widać ten sam porządek, bo wcześniej spotykamy nagozalążkowe, a później dopiero okrytozalążkowe. Ze zwierząt kręgowe występują dopiero w epoce sylurskiej i to tylko jako ryby, a więc kręgowce najniższe, w epoce węglowej spotykamy pierwsze płazy, w permie czyli dyasie piersze gady, w triasie pokazują się pierwsze ssaki, ale dopiero z grupy marsupialiów. W głównych więc zarysach rozwój tak świata zwierzęcego, jak i roślinnego zdaje się odpowiadać wymaganiom teoryi powszechnej, a ciągłej ewolucyi, jeżeli wejdziemy jednak w szczegóły, uderza nas natychmiast szereg nadzwyczaj licznych faktów, które pozostają z nią wprost w sprzeczności.

I tak widzimy, jeżeli zaczniemy nasz przegląd od gąbek, że najstarsi przedstawiciele tej grupy jamochłonów, nie stoją od gąbek współczesnych nam wcale niżej pod względem budowy swoich misternych rusztowań szkieletowych, a przedstawiają formy od nich o tyle doskonalsze, że posiadają możność swobodnego unoszenia się we falach morskich, którą dzisiejsze gąbki posiadają tylko na jednym z pierwszych stopni swego rozwoju, a więc w stadyum embryonalném. Tak samo rzecz się przedstawia i z wyższymi jamochłonami, z pomiędzy których wyżej uorganizowane meduzy pojawiają się według badań znakomitego szwedzkiego uczonego Nathorsta już w epoce najstarszej paleozoicznej, mianowicie w kambryum, kiedy niższe ustrojem swym korale spotykamy dopiero w sylurze. Szkarłupnie i molloskoidy w następstwie swojem chronologiczném zdają się mniej więcej stosować do prawa powszechnej ewolucyi, ale już u mięczaków wyżej uorganizowane ślimaki występują po raz pierwszy w starszych utworach, aniżeli małże.

Naturalnie tego rodzaju fakta nie zawsze są rozstrzygającymi, ponieważ możemy je położyć na karb niedokładności znanego dotychczas materyału paleontologicznego, ale jak pogodzić z teoryą powszechnej i ciągłej ewolucyi fakt tego rodzaju, że dzisiaj jeszcze spotykamy obok istot tak wysoko uorganizowanych, jak ssaki z primatami i człowiekiem na czele, w olbrzymiej

przewadze niższe typy zwierzęce n. p. ryby, które pod pewnym względem okazują zwrot wsteczny od tych typów, jakie przeważały w faunie ryb ubiegłych epok geologicznych, kiedy organizacya ryb dosięga najwyższego swego rozwoju. Toż samo zjawisko okazują w wybitny sposób skorupiaki, między którymi dzisiejsze wicionogi (*cirripedia*) przedstawiają jaskrawy przykład cofnięcia się, a da się to także powiedzieć nawet o niektórych rodzinach zwierząt ssących, n. p. walach, morsach etc.

Tak samo trudno pogodzić z zasadą ogólnéj i ciągłéj ewolucyi zjawisko takie, jak przetrwanie niektórych rodzajów ramienionławów, n. p. Lingula, Discina, Rhynchonella od epoki kambryjskiéj po dzień dzisiejszy bez żadnej prawie zmiany, a fakta tego rodzaju nie są znowu bardzo rzadkimi w paleontologii.

Teorya Darwina tłómaczy nam je bardzo dobrze, i n. p. ze zjawiskiem przetrwania niektórych rodzajów bez zmian prawie od epoki geologicznéj z pierwszymi znanymi zwierzętami, po dzień dzisiejszy, spotykamy się prawdopodobnie tam właśnie, gdzie już bardzo wcześnie nastąpiło zupełne przystosowanie się do warunków zewnętrznych życia, ale bądź co bądź fakta te stanowczo przeczą istnieniu kardynalnego prawa biologicznego, właściwéj wszystkim istototom organicznym, powszechnéj i ogólnéj a ciągłéj tendencyi do ewolucyi.

Na istnienie ewolucyi takiej zgodzić się musi każdy dzisiaj paleontolog, który przyjmuje teoryą powolnej zmiany gatunków, jeżeli brzmieć ona będzie, że począwszy od najniższych istot, które w chwili budzenia się życia organicznego na ziemi, zaludniały prastare oceany naszej planety, ewolucya objawiła się w pewnym stopniu bądź co bądź na całym obszarze organicznego życia ale tylko każdorazowa, najwyżej stojąca grupa systematyczna, ulegała co raz dalej postępującemu doskonaleniu się. Teorya ta w ten sposób postawiona, daje się przedewszystkiem bardzo dobrze wytłomaczyć zasadniczem w biologii prawem doboru naturalnego, a pozostaje w zgodzie z wszystkimi danymi paleontologicznymi i faktami, znanymi z zoologii i botaniki.

W przyrodzie ciemnego i niewytłómaczonego prawa tego rodzaju nie ma a zjawiska ewolucyi, która w pewnych granicach w świecie organicznym rzeczywiście ma miejsce i na którą w tych granicach każdy przynajmniej przyrodnik zgodzić się musi, dają się bardzo zrozumiale wytłómaczyć za pomocą prawa tak jasnego i tak ogólnego, jak prawo doboru naturalnego Darwina.

Powiedzieliśmy, że ewolucya objawia się ciągle i zawsze, od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy bez przerwy — tylko w każdorazowej najwyżej stojącej grupie systematycznéj zwierzęcéj czy roślinnéj; obrazem ewolucyi téj rzeczywiście przekonywającym jest rozwój zwierząt kręgowych od epoki sylurskiéj po dzień dzisiejszy. Ryby sylurskie i dewońskie są protoplastami wszystkich kręgowców, w dewonie są prawdziwymi „królami stworzenia, panami ziemi“, od tego wspólnego pnia oddziela się wtedy gałęź, która w epoce węglowéj posiada już wybitne cechy klasy płazów, ryby jednak ulegają powolnéj ewolucyi jeszcze tylko przez pewien przeciąg czasu a dziś, jak to wspomniałem, okazują już nawet pod pewnym względem zjawisko cofnięcia się. Tymczasem z płazów rozwijają się w dyasie gady, które w epoce jurajskiéj dochodzą do zenitu w swoim rozwoju terroryzując, jak możemy sobie dzisiaj wyobrazić, cały świat zwierzęcy ówczesny. Od téj chwili zaczynają ustępować miejsca ptakom, z których jeszcze uzębiony rodzaj *Archaeopteryx* znany już jest w jurasie, i ssakom, które jako *marsupialia* pokazują się już w tryasie. Niektóre grupy systematyczne gadów jurajskich wygasły wkrótce zupełnie, inne nie stoją wcale niżéj od wysoko nawet uorganizowanych rodzin dzisiejszych i kiedy cała ta tak bogata w epoce jurajskiéj grupa systematyczna coraz szybciéj ustępuje w ten sposób na plan drugi, jeszcze tylko rodzina żółwi rozwija się ciągle aż do epoki trzeciorzędnéj. Późniéj nie widać już w gromadzie gadów ani śladu żadnéj ewolucyi a dzisiaj odgrywają one prawdopodobnie na ziemi rolę tych, którzy pocieszając się wspomnieniami dawno ubiegłych lat władzy i panowania, czekać mogą tylko wymarcia swéj dynastyi. Ptaki i ssaki, ich następcy otrzymały pole walki, ale i tutaj widać dzisiaj pewien zastój i wymieranie niektórych rodzin wobec szybko rozwijających się innych rodzin zwierząt ssących. Przykładem tego są ssaki z grup *marsupialia* i *edentata*, które począwszy od epoki trzeciorzędnéj coraz szybciéj znikają i dzisiaj ograniczone są w niewielu rodzajach tylko do Austryalii i południowéj Ameryki.

U zwierząt bezkręgowych widzimy ewolucyą postępującą także w ten sam sposób tylko tak długo, dopóki nie zostały wyprzedzone przez doskonalszy typ kręgowców. Od téj mniéjwięcéj chwili spostrzegać się daje pewna stagnacya u zwierząt niekręgowych; niepodobna n. p. wykazać, że dzisiaj żyjące małże lub ślimaki rzeczywiście wyżéj stoją od jurajskich lub kredowych, że szkarłupnie uległy ewolucyi w ciągu epoki trzeciorzędowéj i t. p., owszem zdybujemy się z nierzadkiem zjawiskiem nawet cofnięcia się n. p. u skorupiaków etc.

Jakkolwiek więc konieczność przystosowywania się do warunków zewnętrznych życia i dobór naturalny w walce o byt zawsze i wszędzie istniała i istnieć musi, a wskutek tego w miarę zmiany tych warunków, zmieniać się musi i obraz tego bujnego. pstrego życia — tak w szczegółach, jak i w całości, to paleontologia nie wykazuje jednak wcale jakiéjś tajemniczéj, ogólnéj i ciągłéj tendencyi do doskonalenia się: Ewolucya istnieje w paleontologii tylko w każdorazowych najwyżéj rozwiniętych grupach systematycznych a fakt ten tłómaczy nam doskonale teorya Darwina doboru naturalnego.

Jest bowiem rzeczą naturalną, że jakiś gatunek w walce o byt ma tém więcéj widoków zwycięztwa, im bardziéj różni się od tych, z którymi musiałby współubiegać, ponieważ w tym razie prędzéj będzie mógł zająć takie miejsce w gospodarstwie przyrody, na którém nie będzie narażonym na niebezpieczną konkurencyą. Otóż dla pojedynczych jednostek z rzędu najpierwotniejszych protoplastów wszystkich późniejszych i dzisiejszych organizmów, było rzeczą niemniéj korzystną jak najbardziéj różnić się od całéj rzeszy pobratymców, a ponieważ były to, przyjmujemy, organizmy możliwie najprostsze, wszelka zmiana mogła odbyć się tylko w kierunku udoskonalania się organizacyi tych istot i ....
... w ten sposób rozpoczęła się ewolucya. A późniéj z téj saméj przyczyny mogła ona postępować tylko tam, gdzie była już najdaléj posuniętą, ponieważ tam tylko otwierała nowe, wolne jeszcze od wszelkiéj konkurencyi widoki zachowania gatunku, kiedy wszystkie niższe organizmy musiałyby tylko przechodzić przez te szczeble, które były już od dawna zajęte. Rozwijał się więc dalej tylko każdorazowy król stworzenia, bo dla niego tylko rozwój przedstawiał się korzystnie, a wszyst-

ko inne, co zostało w tyle, ginęło w walce o byt lub starało się najdokładniéj przystosować do zewnętrznych warunków życia, gdyż to był jedyny jeszcze sposób ratowania gatunku. Jedna mała cząstka stworzenia zdążała coraz wyżéj, wynurzając się z potwornych głębin oceanów, zamieszkując kontynenta, tocząc z sobą walkę o każdą piędź ziemi, zwyciężając i ginąc, aż wreszcie cząstka zwycięzców podniosła głowę od ziemi ku słońcu i z chwilą tą rozpoczęła się nowa era. Reszta, co nie zdążyła za tą cząstką postępującą i zwyciężającą, pozostała u dołu i zginęła lub przedzieliła się taką przepaścią i takimi odmętami, że dziś nie ma już wspólnego pola walki dla zwycięzkiego człowieka, „pana stworzenia“ i tych, którzy z nim w walce o byt tylko ginąć mogą. Walka ta zapaliła się i trwa za to między człowiekiem a człowiekiem, szczepem a szczepem, rasą a rasą, a biada tym, którzy spóźniają się na drodze postępu ludzkości, tracą oni niemal warunki dalszego rozwoju i prędzéj czy późniéj wyjdą z tych zapasów zwyciężonymi.

SPRAWY MŁODZIEŻY.

Wycieczka i uwięzienie akademików W OJCOWIE.

Wycieczka studentów Jagiellońskiego uniwersytetu do Ojcowa i wypadki zaszłe w jej ciągu narobiły tyle wrzawy w kraju, w prasie miejscowej i zagranicznej, dały tło tylu przesadnych i fałszywych po większej części pogłosek i mitów, uwłaczających czasem samym studentom, że redakcya „Ogniska“ czuje obowiązek przedstawienia tej sprawy w rzeczywistem świetle, zamieszczając dokładny opis wycieczki, podany przez jednego z uczestników tejże.

Wyjechaliśmy w liczbie 44 z Krakowa d. 2 Czerwca wczesnym rankiem, z planem zwiedzenia Ojcowa i powrotu tego samego dnia wieczorem. Wycieczkę prowadził kol. Fr. S...., przewodniczący sekcyi wycieczkowej i jeden z starszych kolegów, Ojców dawno znający. Czwartą część studentów stanowili koledzy Rusini. Po jednogodzinnej jeździe stanęliśmy na komorze rossyjskiej w Szycach, skąd po wizowaniu przepustek całe grono ruszyło piechotą już ku Ojcowowi. Przy wejściu w dolinę Prądnika, na samej granicy, nastąpił pierwszy odpoczynek, spowodowany strasznym upałem i szybkim marszem. Tutaj też zapoznali się bliżej z sobą sami wycieczkowcy, do różnych kursów i fakultetów należący. Wpływ przepysznej okolicy i pogodnej aury działał upajająco; zwyczajem wszystkich wycieczek zaczęto śpiewać; wnet rozległy się przejmujące dźwięki narodowej skargi polskiej i ruskiej. Polacy odśpiewali „Z dymem pożarow“, Rusini „Szcze ne wmerła Ukraina“. Śpiewano także rosyjską pieśń rewolucyjną „Dubinuszka“. Spoczynek trwał nie długo; młodzież ruszyła szybkim pochodem w uroczą dolinę Prądnika. Większa część studentów nigdy żadnych gór i skal nie widziała; stąd zachwyt „doliniaków“ wzrastał w miarę zagłębiania się w skalistą dolinę. Głośnemi okrzykami podziwu witano każdą grupę skał, pietrzących się nad ciemną gęstwiną lasów. Rozkołysana wyobraźnia młodzieży wynajdowała najróżnorodniejsze podobieństwa do tych skalnych wietrzejących pomników praczasu; zapalczywsi, nie zważając na brak czasu, chcieli spinać się na skalne kolosy odrzynające się śmiałemi rysami na błękicie. Naglono jednak do bezustannego pochodu. Pod samym Ojcowem, młodzież, rozrzucona na przestrzeni pół kilometra w grupach poszczególnych, zeszła się i razem udała się do hotelu pod Łokietkiem. Znużeni upałem i forsownym pochodem studenci z energią rzucili się do piwa i wina. Gwarno i szumno zrobiło się w pustym hotelu.

Niebawem zjawili się strażnicy i wzięli przepustki studentów do ostęplowania; studenci zaś, za poradą restauratora starali się zawiązać przyjazne z nimi stosunki, częstując ich tytoniem i napitkiem. Strażnicy wdzięcznie przyjmowali grzeczności.

Podług planu wycieczki, mieliśmy najprzód zwiedzić ruiny zamku, następnie zjeść obiad i ruszyć na Chełmową górę i do groty Łokietka, potem wrócić do hotelu na kawę i ruszyć do Krakowa pod wieczór. Brak czasu naglił do pośpiechu, stąd też zaraz po ochłodzeniu się ruszyliśmy na zamek. Studenci rozbiegli się w różne zaułki ruin, oglądając smutne szczątki narodowej przeszłości; obliczali głębokość starej studni zamkowej, ktoś opowiadał przytem mrożącą krew opowieść o wrzucaniu do tej bezdennej czeluści powstańców z r. 63 przez Rosyan. Poczem ruszyli na basztę zamkową. Kol. Kazimierz Bąk wydrapawszy się najwyżej zaintonował pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“, potem „Bartosza“, w końcu „Boże coś Polskę“. Studenci chórem odśpiewali te pieśni — a przyznać trzeba z wielkim zapałem. Nikt nie mógł przypuścić wtedy, że echa tych pieśni ze szczytu skały ojcowskiej dolecą aż do Petersburga i Wiednia i staną się powodem tylu zajść i wypadków. Rzecz sama z siebie zwykła i powszechna na wycieczkach jak śpiew patryotyczny — w tym wypadku, zlatując z skał Ojcowa zamieniła się w groźną lawinę u bram stolic dwu państw. Nikt także nie zauważył, że dwaj strażnicy w ślad za nami przyszli na zamek i ukrywszy się wśród drzew pilnie chwytali uszami słowa naszych pieśni. Z zamku zeszliśmy o godzinie pierwszej na obiad do hotelu. Obiad był gwarny — śpiewami toastowemi ruskiemi i polskiemi zapełniano przerwy między daniami. Wesołość wzrastała wraz z zaspokajaniem apetytu. Przyszli przewodnicy, kol. Ortyński dał znak do pochodu; rzucono się do lasek i kapeluszy. Drogę na Chełmową górę, odnośnie do znacznej odległości i wysokości tej góry odbyliśmy w krótkim bardzo czasie, bo w pół godziny. Wszyscy studenci okazali się znakomitymi piechurami, przewodnicy nie mogli im nadążyć.

Znanym i nieraz opisywanym już jest imponujący widok z tego wierzchołka, najwyższego na wyżynie Krakowskiej. Roztacza się on głównie ku południowej stronie widnokręgu; w błękitnej mgle dali ciemniała przed nami granitowa ściana Tatr, zapierająca widnokrąg; od

niej ku północy opadają amfiteatralnie sine grzbiety pasm górskich, coraz niżej aż do Krakowskich Krzemionek. W dolinie stary Kraków piętrzący się wieżami i potężnemi konturami Wawelu i czterdziestu kościołów — błyszczał pod słońce szybami większych budynków. Tak dobrze go widać, tak bliskim i dostępnym się zdaje stąd, że zapomina się mimowolnie o brutalnym kresie zaboru, który dzieli go od Ojcowa silniej niż morze, góry i wszelkie naturalne granice. Studenci śledzili oczyma ulice, przy których mieszkają, ogrody miejskie, nowy Uniwersytet, kamień na mogile Kościuszki i t. p. Powietrze szczytu było tak swobodne i upajające, pogoda i górzysta okolica tyle romantycznych miały uroków — że żal było schodzić z tego miejsca. Dały się słyszeć ubolewania, że dziś już trzeba wracać do Krakowa; kilku zapragnęło zostać w Ojcowie jeszcze jeden dzień, ze względu jednak na solidarność porzucili ten zamiar. Nikt nie wiedział, że życzeniom tym wypowiedzianym wśród lasów Chełmowej góry, stanie się zadość aż nadto.

Opuściliśmy w końcu szczyt i spuściwszy się stromem zboczem góry, niebawem doszliśmy do pieczar Łokietka. Niegdyś, gdy jedna, czarna puszcza leśna pokrywała tę górzystą okolicę, pieczara ta mogła istotnie być niedostępną kryjówką dla króla tułacza. I dziś trafić do niej dość trudno. Przewodniczący zapalili kagańce i wprowadzili młodzież w ten labirynt podziemny. Blisko godzinę trwało oglądanie tego podziemnego mieszkania królewskiego. Do czeluści prowadzącej do niższego piętra pieczary t. z. „Kuchni Łokietka“, zejść nie było można, wskutek nadgnicia drabiny tam prowadzącej. Dziwnie ponuro odbijały się o skalne ściany pieczar echa pieśni, które zanucili studenci. Najwłaściwszą chyba pieśnią w tej ciemnej otchłani byłaby może posępna pieśń zemsty „Zgasły dla nas nadziei promienie“...

Studenci, wynurzywszy się z groty i odpocząwszy, biegiem poczęli zniżać się w dolinę. W kilkanaście minut byli już z powrotem w hotelu, gdzie oczekiwał ich podwieczorek. Po podwieczorku miał nastąpić natychmiast powrót, aby jeszcze przed zachodem słońca stanąć na komorze granicznej, zanim ją zamkną.

Oto przebieg krótkiej wycieczki, która podług planu była skończoną. To co nastąpiło, nie było przewidywanem, ani przypuszczalnem nawet. Od tej chwili zaczyna się sprawa, która tyle hałasu i namiętnych dyskusyi dziennikarskich sprowadziła, przez dni ośm nie dała usnąć spokojnie Krakowowi i nam, a dla różnych władz rossyjskich i austryackich była kłopotem bez wyjścia.

Niebawem po podwieczorku i krótkim wypoczynku, kol. S..... udał się do wachmistrza policyjnych strażników, niejakiego Kauscha, żądając zwrotu przepustek, ile, że czas już był ruszyć ku granicy. Wachmistrz Kausch, zrusifikowany Germanin, oświadczył uprzejmie, że zaraz nam przepustki sam przyniesie. Rozpłaciliśmy się tedy w hotelu i gotowi do drogi, czekali na Kauscha w ogrodzie hotelowym. Upłynęło trzy kwandranse — jednak Kausch nie przychodził. Obawa spóźnienia się na komorę zaczęła niecierpliwić studentów; kol. S..... i Ortyński udali się poraz drugi do wachmistrza, żądając energicznie przepustek. Kausch nie przerywając sobie pisania, jakiem był zajęty, odpowiedział, że w tej chwili będą przepustki gotowe, że będzie jeszcze dość czasu, aby dojść do komory przed zamknięciem jej. Obaj wysłańcy wróciwszy do nas, opowiedzieli skutek swej misyi, dodając przytem, że Kausch pisze coś w guście raportu. Młodzież zaczęła robić niespokojne przypuszczenia, rozdrażnienie wzrastało; wreszcie po nowem półgodzinnem czekaniu stndenci gremialnie podeszli pod ganek, na którym pisał pan Kausch i chórem zaczęli wołać o przepustki. Zstąpił tedy z ganku Kausch, książe Ojcowa jak go tu nazywają i oświadczył ze złośliwym uśmiechem, że nie warto opuszczać dziś takiego pięknego miejsca jak Ojców, proponował nam, abyśmy śpiewali i bawili się i t. p. Na przedstawienia nasze, że nie mamy ani na nocleg, ani na życie pieniędzy, gdyż wybraliśmy się tylko na jeden dzień ze szczupłymi funduszami, odpowiadał żartami; a kiedy rozwścieklęni tem postępowaniem studenci zaczęli ostre przymówki i groźby — odpowiedział, że dziś już zapóźno do komory i przepustek nam nie da; zaręczył solennie, że jutro raniutko o chłodzie wyjść możemy. Na interpelacye, jakiem prawem nas zatrzymuje kiedy wszyscy chcemy iść dzisiaj, nie zważał, żartując tylko i humorystycznemi odpowiedziami nas obdzielając. Olimpijski spokój zacnego czynownika rozdrażniał do najwyższego stopnia studentów, nawykłych do swobodnych europejskich urządzeń państwowych; nie mogli pojąć i zrozumieć tego policyjnego gwałtu, jakiego dopuścił się na naszej woli kresowy czynownik caratu. Ktoś zapytał go, czy jesteśmy aresztowani? zaprzeczył temu energicznie i prosił, abyśmy się swobodnie bawili a jutro rano dostaniemy przepustki. Na oświadczenie, że zatelegrafujemy natychmiast do ambasady austryjackiej o jego samowoli odpowiedział, że urząd telegraficzny w Skale zamknięty już dzisiaj a rano będziemy mogli odejść spokojnie do Krakowa.

Długa, bezowocna sprzeczka zakończyła się; wszyscy ulegli konieczności i zaczęli szukać u chłopów noclegu. Część nas zamówiła trzy pokoje w hotelu; jedno łóżko wypadało na trzech, nie licząc tych, co spać mieli na stołach i komodach. Pieniędzy nie było, głód zaczął wycieczkować po żołądkach; kilku kolegów doniosło nam, że Kausch wysłał konnego kuryera, który popędził galopem do Olkusza; niepokój przyłączył się zatem do niedostatków materyalnych. Kausch wreszcie przyznał się, że oddanie nam przepustek zależy od wyższej władzy, że o 10-tej wieczór będzie odpowiedź. Powodów swego postępowania nie motywował wcale mimo gwałtownych nalegań naszych. Czekaliśmy tedy do 11-tej powrotu kuryera — w końcu nie doczekawszy się go ruszyliśmy w silnem rozdrażnieniu na noclegi. Układanie się do snu po kilku na jednem łóżku, dało temat do pocieszných scen. Egoizm i altruizm występowały w rozmaitych

odmianach, rozdrażnienie ogólne podsycało energię obu tych kierunków uczuciowych. Ilość łóżek stała w rażąco odwrotnym stosunku do silnie skoncentrowanych ciał studenckich. Wszyscy musieli spać na boku z powodu braku miejsca; kto zaś chciał przewrócić się na bok drugi, musiał ten półobrót wykonać na korpusach obok śpiących towarzyszy, wywołując tem groźne, półsenne protesty gmeciopnych, wykonywane słowem i czynem. Wogóle stosunki towarzyskie na łóżkach były bardzo naprężone. Mimo wszystkiego, nasz nocleg lepszym był jednak od noclegu części kolegów, którzy ulokowali się na dziurawym strychu jakiegoś młyna na słomie. Dokuczało im zimno nocne; ponieważ prawie nikt nie miał zarzutki, radzili sobie sposobem dość pierwotnym: część słomy kładli pod siebie, część zaś na sobie; pod szyją związywali warstwy kamizelkami i chustkami i w takich roślinnych płaszczach zimną noc przeczekiwali, opłacając rano młynarzowi tę osobliwość cywilizowanego życia 10-cioma kopiejkami od osoby.

W hotelu zapanował w końcu spokój głęboki; przystający ściśle do siebie studenci gnieceni i gniotący, spali kamiennym snem po nużącej wycieczce. Około godziny 3-ciej w nocy zbudził nas łoskot otwieranych drzwi, brzęk ostróg i szabel na schodach. Po chwili zaczęto pukać do drzwi pierwszego naszego pokoju. Któryś z kolegów wstał i otworzył; gospodarz hotelu wszedł i przeprosiwszy za przerwanie snu oświadczył, że przybyli goście, którzy muszą tędy przejść do swych pokoi, gdyż klucz od drugiego wejścia zgubiony. Weszli tedy zapowiedzeni goście, uzbrojeni, umundurowani i zniknęli w drzwiach przeciwległych. Słowo „żandarmi!"... przebiegło od łóżka do łóżka, od pokoju do pokoju. Niejeden napół rozbudzony wziął wszystko za sen i obróciwszy się na drugi bok z wielką obrazą obok leżących, zasnął spokojnie. Raniutko obudzili nas koledzy, których wypędziło z młyna ordynarne zimno; od nich dowiedzieliśmy się, że w nocy przyjechali: naczelnik żandarmeryi, naczelnik policyi, jakiś kapitan w zastępstwie naczelnika powiatu (podobno sędzia), żandarmi i policyjni strażnicy.

Wywnioskowaliśmy, że według wszelkiego prawdopodobieństwa „goście" owi przyjechali w naszej sprawie. Zeszliśmy tedy do ogrodu i zaczęliśmy oglądać żandarmów stojących przy drzwiach, które wiodły do pokoi śpiących naczelników. Niektórzy, sokolem okiem śledzili fałdy mundurów żandarmskich, szukając w nich legendowych nahajek. Kol. S.... ruszył do naczelników z zamiarem żądania naszych przepustek. U drzwi żandarm zatrzymał go lakonicznem: „nie lzia!" Lokaj zaś hotelowy przetłumaczył te słowa na europejski frazes: panowie naczelnicy śpią jeszcze. Studenci postanowili czekać; kto miał jeszcze pieniądze, ten zjadł śniadanie, część studentów zamiast śniadaniem pokrzepiła się kąpielą w Prądniku. Wreszcie, gdy różnorodni naczelnicy sen swój ranny przedłużali nad miarę a oczekiwanie znudziło nas, ruszyliśmy wszyscy na zamek, gdzie zaczęły się narady nad tem co zrobić należy wobec głodu z jednej a braku pieniędzy i widocznego już internowania nas z drugiej strony. Narada oczywiście do żadnych rezultatów nie doprowadziła; chór akademicki, który reprezentowała trzecia część wycieczkowych, został zawezwany do rozweselenia atramentowych myśli, coraz tłumniej nadlatujących do zgłodniałych dusz studenckich. Niebawem brzmiące echa pieśni popłynęły na lasy i skały Ojcowa. Ponure, czarowną tęsknotą owiane dumy ruskie, mieszały się z ognistą i namiętną falą tonów mazowieckich pieśni, budząc ciszę starych ruin zamkowych. Strażnicy, którzy przyszli za nami chwalili bardzo „nasze krakowiaki".

Śpiewy chóralne i solowe trwały dość długo; wreszcie postanowiliśmy zejść i energicznie zażądać przepustek, lub wyjaśnienia powodów, dla których nam wyjść z Ojcowa nie wolno. Kol. S.... i Ortyński poszli do mieszkania naczelników raz drugi, lecz, jakkolwiek „goście" nie spali już, żandarmi delegatów do środka nie wpuścili. Oburzenie młodzieży, nieprzyzwyczajonej do tak brutalnego postępowania władz policyjnych doszło wysokiego stopnia; znaczna tylko liczba żandarmeryi i straży, skonsygnowanej dokoła ogrodu i perswazye starszych kolegów powstrzymały młodzież od gwałtowniejszej jakiej demonstracyi. Studenci zgodzili się wreszcie na czekanie nowe i obsiadłszy stoły w ogrodzie przed oknami naczelników, zaczęli śpiewy, które trwały trzy godziny. Śpiewano przeważnie wesołe motywa polskie, ruskie i żydowskie. W ciągu tego ukazywały się w oknach pierwszego piętra twarze tajemniczych naczelników; zdaje się obserwowali z uwagą nasze fizyonomie a także (jak później dowiedzieliśmy się) wyszukiwali między nami prowodyrów wycieczki. Pod koniec śpiewów zauważyliśmy ruch większy między żandarmami; miejscowi ludzie wchodzili i wychodzili z pokojów „naczalstwa", strażnicy ze wsi sprowadzali chłopów. Prowadzono widocznie jakąś indagacyę.

Czas i głód wskazywały na obiad; kilku ledwie studentów zaryzykowało wydatek na obiad, inni pocieszyli się mlekiem, inni wreszcie powtórną kąpielą.

Koło godziny 2-giej zjawili się wreszcie w ogrodzie nocni goście: naczelnik żandarmeryi Zacharow i naczelnik policyi Głowacki. Kol. S.... i Ortyński zwrócili się do nich natychmiast, żądając przepustek. W odpowiedzi na to p. Zacharow czystym polskim językiem zaczął chwalić piękność naszych śpiewów. Kiedy zaś delegaci młodzieży zaczęli domagać się stanowczej odpowiedzi, jakiem prawem władze rosyjskie krępują swobodę czterdziestu kilku austryackich poddanych, Zacharow dał wkońcu wyjaśnienie, ze internowani jesteśmy za publiczne odśpiewanie pieśni: Jeszcze Polska nie zginęła: i: Bartoszu! Bartoszu! oj dobre kosy nasze: Kiedy zaś kol. Ortyński usprawiedliwiał nas, że nie przypuszczaliśmy, aby obcym poddanym nie wolno było śpiewać zakazanych rosyjskim poddanym pieśni Zacharow zaczął dłuższą dyskusyę o prawie międzynarodowem. Wreszcie gdy delegaci zażądali, aby nas wobec przekroczenia przepisów zamknięto zaraz do kozy, gdyż nie mamy

pieniędzy ani na mieszkanie, ani na życie, oświadczył p. Zacharow, że za dwie, a najdalej trzy godziny nadejdzie depesza z Olkuszu i będziemy mogli pójść do Krakowa.

Obaj naczelnicy odeszli na obiad, niebawem jednak powrócili i usiedli razem z nami w ogrodzie. Zacharow zaczął wesołą rozmowę na temat: Wein, Weib und Gesang, przepraszając nas zaraz na wstępie, że czasem nie wyrazi się dość jasno po polsku, gdyż jest dopiero ośm tygodni w kraju i brak mu jeszcze niektórych wyrazów polskich. Taka introdukcya, wzięła od razu na lep studentów, którzy wszyscy prawie pierwszy raz dopiero byli w granicach Rosyi; w zamian za legendowe grube klątwy moskiewskie, nahajki i t. p. o których opowiadano im od dzieciństwa napotykali uprzedzającą grzeczność i przeprosiny, głaszczące dumę narodową. Od razu zachwycili się wszyscy strasznym do niedawna naczelnikiem. Dla tych jednak, którzy choć cokolwiek znali władze rosyjskie, dość było przysłuchać się mu i przypatrzyć przez kilka chwil, aby poznać, że to klasyczny typ żandarma rosyjskiego, a jego hulaszcza, wesoła rozmowa to idealnie zręczne śledztwo. Jego niespokojne, przenikające do głębi oczy, zrobiły pierwsze śledztwo na naszych twarzach. Podziwiać należało rzutkość i wszechstronność jego niezrównanej dyalektyki. W przeciągu pięciogodzinnej rozmowy, raczej indagacyi, poruszył wszystkie naukowe kwestye, zapuszczając się czasami w szczegóły, jak w cytowanie poetów niemieckich i rosyjskich. w przypominanie połączeń chemicznych, w zrównania, w kombinacye, permutacye i t. p. Żądał, abyśmy mu dali definicyę pieniędzy i wartości, wnioskując z dawanych odpowiedzi zapewne, czy nie ma między nami socyalistów. Potem zażądał definicyi, moralności, śledząc w dyskusyi wywiązanej z tego powodu za poglądami antypaństwowemi może. Stawiał pytania, co myślimy o emancypacyi kobiet, wprowadził do dyskusyi pytanie czy można jakąś ideę ogólną w czyn wprowadzić, a stanąwszy sam na stanowisku negatywnem, wyzywał widocznie do odpowiedzi śmielszych, z których mógłby poznać nasze społeczne poglądy. Nawrócił potem do muzyki, twierdząc, że uważa ją za wytwór uczucia, krytykując stopień uczuciowości u Offenbacha, Schopena i Verdiego — potem dla podtrzymania słabnącej już dyskusyi o uczuciu w muzyce, zaczał wygłaszać swój pogląd na ludzi. Twierdził, że rozum, inteligencyę, idealizm męczeństwa i bohaterstwa stawia na planie drugim, a człowieka szanuje i czci tylko według jego uczucia i serca, które uważa za podwalinę szczęścia ogólnoludzkiego. Przytem oczy jego latały po twarzach studentów, które wyrażały w tej chwili zdumienie i ironię. Chciał może wywołać odpowiedź jaką, że zdanie podobne wychodzące z ust czynownika caratu jest fenomenem i z odpowiedzi tej wyciągnąć zarzut demonstrancyi politycznej. Nakoniec oświadczył, że w całej naszej sprawie nie widzi nic politycznego i że on sam nic przeciw nam nie ma. Zażądał tylko, abyśmy podpisali oświadczenie, że przybyliśmy do Ojcowa w celu wycieczki jedynie bez zamiarów demonstracyi politycznych i że „przeciw Rosyi nic nie mamy". Na to oczywiście nie zgodziliśmy się wszyscy, oświadczając, że sami zredagujemy oświadczenie. Zgodził się odrazu. Kol. Ortyński wystylizował za zgodą wszystkich akt „że przybyliśmy do Ojcowa w celu wycieczki jedynie i nieświadomi miejscowych przepisów, odśpiewaliśmy miedzy innemi dwie zakazane pieśni: Jeszcze Polska! i Bartoszu, i t. d. przyczem oświadczamy, że nie mieliśmy żadnego zamiaru zrobienic jakiejkolwiek demonstrancyi politycznej przeciw państwu, w granicach którego znajdowaliśmy się. Wszyscy studenci podpisali akt powyższy, którego treść podajemy dlatego, aby zaprzeczyć ubliżającym nam pogłoskom, jakie zaczęły później krążyć po Krakowie o treści tego dokumentu.

Zacharow teraz, ku niemiłemu zdziwieniu studentów, zaczął pokazywać rogi. · Oświadczył, że będziemy wolni zaraz, jeżeli powiemy, kto pierwszy wczoraj na zamku śpiewy zakazane zaczął. Studenci rozdrażnieni tem oświadczyli, że nikt nie zaczynał, tylko wszyscy razem śpiewali i wina wszystkich jest równa, więc wszyscy bez wyszczególnienia chcą odpowiadać za nią. Zacharow nie zważając na to, nakłaniał dalej, patrząc znacząco na kol. Bąka, inicyatora śpiewów. Nie mogąc jednak przekonać nas, przywołał strażników dla konfrontacyi. Koledzy dali szybko Bąkowi inny kapelusz i surdut, spodziewając się, że w ten sposób nie będzie poznanym. Strażnicy stanęli przed naczelnikiem; Zacharow po kolei stawiał nas przed nimi, pytając wciąż „czy nie ten pan?" Kiedy przyszła kolej na kol. Bąka, wszyscy trzej strażnicy poznali go natychmiast i złożyli zeznanie, że widzieli go wczoraj na zamku jak wyszedł na basztę i pierwszy zaczął śpiew: Jeszcze Polska „eto" nie zginęła i Kastiuszko pod Racławicami, nauczył Moskali jak wojowat' z nami... Zaprzeczyliśmy wszyscy temu zeznaniu, ze względu na ubóstwo kol. Bąka, który żyjąc z lekcyi, mógłby stracić takowe przez dłuższe uwięzienie. Zacharow jednak nie uważał na to.

Nadeszła oczekiwana depesza — po przeczytaniu ktorej Zacharow zaczął nas prosić, abyśmy mu zrobili tę grzeczność i do jutra rana zostali w Ojcowie. Nikt nie starał się żądać już wyjaśnień, dwudniowe doświadczenie nauczyło już studentów cierpliwości. Ponowili tylko żądanie, aby zamknięto ich do kozy, bo ani co jeść ani gdzie mieszkać nie mają. Zbył jednak petentów żartami, zaręczając słowem honoru, że będziemy jutro raniutko wolni.

Nocleg podobny był poprzedniemu — głód tylko większy doskwierał. Na drugi dzień wczesnym rankiem studenci, którzy spali w młynie, przynieśli wiadomość, że kol. Bąk i Krok uciekli w nocy, aby ze świtem przedostać się z przemytnikiem za granicę. Na wiadomość tę zebraliśmy się wszyscy i wyszedłszy raniutko w las, zorganizowaliśmy obronę naszą wobec spodziewanego śledztwa w sprawie ucieczki dwu kolegów. Dręczyła nas jednak obawa, aby ich nie złapano na granicy, gęsto obstawionej obecnie strażą; dla nich i dla nas byłoby to najgorzej.

Przez cały dzień Zacharow i Głowacki byli ciągle z nami. Zacharow brał udział w grze w karty, w szachy, nawet w „kiczkę“. Zaraz rano oświadczył, że jakkolwiek wczoraj obiecał nam swobodny powrót, musimy jednak przygotować się na dłuższy pobyt w Ojcowie, gdyż sprawa nasza oparła się o najwyższe władze. Telegraficznie zapytał jenerał-gubernatora Hurkę, jak postąpić wobec tego, że nie mamy żadnych środków do życia. Głodni i w obawie o los kol. Kroka i Bąka, przepędziliśmy dzień cały. Dano nam do podpisania jeszcze jeden akt, tej samej treści, co wczorajszy, dla p. Głowackiego przeznaczony. Pod wieczór przyjechał nagle komisarz policyi krakowskiej p. Kostrzewski — i przedstawiwszy się Zacharowowi udał się z nim na dłuższą konferencyę. Oczekiwaliśmy wyniku z natężeniem gorączkowem. Komisarz krakowski poświadczył tożsamość osób i dał przychylną opinię o konduicie studentów, czem skrócił niezmiernie dochodzenie, jakie niewątpliwie żandarmerya przedsiewziąść chciała. Nas prosił o spokojne zachowywanie się i robił nadzieję prędkiego ukończenia sprawy. Dowiedzieliśmy się także, że kol. Bąk i Krok są już w Krakowie, szczęśliwie przemyciwszy się wśród straży granicznej. Ucieczkę ich spostrzeżono dopiero wieczorem. Zacharow i Głowacki zapałali wielkim gniewem. Zaczął się znów rodzaj indagacyi; Zacharow twierdził, że jesteśmy współwinni, gdyż musieliśmy robić składkę na obu kolegów powyższych, którzy, jak sami wczoraj mu mówili, nie mieli już pieniędzy, a przemycenie się przez granicę dużo kosztuje. Zaprzeczyliśmy jakiemukolwiek udziałowi w tej sprawie.

Na drugi dzień, t. j. w środę, Zacharow na mocy depeszy rządowej otworzył nam kredyt na życie u restauratora. Humory poprawiły się silnie, a że zapewniony nam wikt był całkiem imponujący, więc zgodziliśmy się na dłuższe oczekiwanie rozwiązania naszej sprawy. Później dowiedzieliśmy się o powodach tak długiego internowania nas; władze rosyjskie obawiając się odpowiedzialności za aresztowanie tak znacznej liczby obcych poddanych, spychały całą sprawę jedna na drugą, aż do Petersburga. W Krakowie podniósł się wielki alarm, gdy Bąk i Krok przynieśli wiadomość o aresztowaniu naszem. Policya wysłała natychmiast p. Kostrzewskiego do Ojcowa, rektor uniwersytetu udał się do prezydenta ministrów Taafego, wracającego właśnie przez Kraków z pogrzebu Alfreda Potockiego. Cała sprawa weszła na dyplomatyczną drogę. Obok tego, żandarmerya rosyjska chciała naszą wycieczkę postawić w związku z sprawą aresztowanego przed dwoma miesiącami studenta Dwernickiego i ze znalezieniem w jednej z grot Ojcowa paki książek socyalistycznych. Niepostrzeżenie zdjęto z nas fotografie i z nazwiskami posłano do śledczego sędziego w sprawie Dwernickiego. O znalezieniu paki książek socyalistycznych przestrzegli nas chłopi Ojcowscy cichaczem, radząc abyśmy byli ostrożni. Obserwowaliśmy z daleka tajemniczą ową pakę, kiedy ją żandarmi przywieźli Zacharowowi.

Koło czwartej popołudniu przyjechało pięciu naszych kolegów z Krakowa, przywożąc pieniądze, zbierane w Krakowie przez młodzież dla nas, dla zabezpieczenia nas od śmierci głodowej Zacharow natychmiast zaaresztował ich i dopiero po ściągnięciu z nich zeznań, że pieniędzy nie przywożą od rządu, wolno puścił. Donieśli nam oni, że młodzież krakowska gorąco się nami zajmuje, wraz z całą publicznością — i zamierza we czwartek urządzić wiec w naszej sprawie. Następnie odpłacając p. Zacharowi pięknem za nadobne, oświadczyli mu, że kol. Bąk i Krok zasyłają mu serdeczne ukłony z Krakowa i że będą jutro na wiecu przemawiali przeciw aresztowaniu nas. Zacharow i Głowacki zagrozili nam, że dopóki kol Bąk nie wróci, my nie będziemy wypuszczeni. Nie mogąc nas jednak przekonać w ten sposób, dali obaj słowo honoru, że kol. Bąkowi nic nie zrobią za ucieczkę i będą ją uważali za spacer tylko — co zaś do kary za śpiew, będzie ona taka sama, jak nasza, ponieważ oświadczyliśmy w protokóle, że wszyscy razem śpiewaliśmy. Kiedy zaś i na to pozostaliśmy w opozycyi, nie wierząc oczywiście ich zapewnieniom, zaczęli prosić nas o to, jako o grzeczność, utrzymując, że ich obu czeka areszt lub utrata posady za to, że pozwolili uciec dwom studentom; nawzajem za tę grzeczność obiecywali nam jak najlepsze zakończenie naszej sprawy. Wobec tego napisaliśmy list do zbiegłych kolegów prosząc o powrót ku wielkiej radości obu naczelników, ustnie zaś kolegom kazaliśmy donieść, aby nie myśleli nawet o powrocie, gdyż ich rycerskość w tym wypadku nic nam nie pomogłaby mimo zapewnień naczelników, a ich samych, także mimo zapewnień naczelników mogłoby spotkać dłuższe uwięzienie i śledztwa najrozmaitsze.

Przed wieczorem odjechali przybyli koledzy i komisarz policyi. Kolacya nasza przeszła nadzwyczaj wesoło — a wesołość tę przerywały chyba biadania Zacharowa. nad ucieczką Bąka.

Zacharow nastraszywszy nas cały wieczór cytadelą warszawską, X pawilonem, więzieniem w Piotrkowie i t. p. odjechał nakoniec we czwartek rano. Żegnając nas oświadczył, że jedzie do Warszawy w naszej sprawie; oczywiście nikt nie wierzył już dzielnemu żandarmowi ani słowa. Odetchnęliśmy bądźcobądź po jego odjeździe i chcąc przed „cytadelą, X pawilonem, więzieniem piotrkowskiem i t. p.“ odetchnąć jeszcze swobodnem powietrzem, ruszyliśmy w czwartek rano do Pieskowej Skały na wycieczkę, czemu nie sprzeciwił się p. Głowacki, ubiegający się widocznie o opinię gentlemena. Dodał nam tylko asystencyę żandarmską.

Zamek Pieskowa skała wywołał zachwyt u studentów; dwie godziny trwało oglądanie starożytnych, cennych istotnie zabytków artystycznej przeszłości polskiej. Duże zajęcie wzbudziło także mierzenie głębokości zamkowej studni podług wzoru na ruch jednostajnie przyspieszony. Znaleźli się tacy, którzy chcieli na wiadrach spuścić się w tę przepaść. Wesołość i humor wzrastały, pieśni gwałtem cisnęły się na usta; w czarownej okolicy rozjaśnionej fenomenalną pogodą, w gronie samych mło-

dych i wesołych chłopców — i jakże tu nie śpiewać, zwłaszcza, że na karku koza za śpiewanie? Pięć dni jednak przepędzonych w granicach Rosyi nauczyło nas już panowania nad naturalnemi porywami.

Wróciliśmy na obiad do Ojcowa; p. Głowackiego zastaliśmy w rozdrażnieniu z powodu nieukazywania się Bąka; wierzył widocznie, że kol. Bąk powróci. Pocieszaliśmy go, że obaczy Bąka niedługo, gdy będzie przez Kraków z żoną do Szczawnicy przejeżdżał. Ktoś z litościwych wybierał się na łąki, aby złapać jakiego bąka i w pudełku przynieść strapionemu naczelnikowi. Nie dał się jednak niczem pocieszyć i powtarzał tylko z westchnieniem dowcip Zacharowa, że: ‚Bąk zrobił kroka, a Krok strzelił Bąka". Wyraziliśmy mu ubolewanie swe nad tem, że żądło kol. Bąka i szybkość nóg kol. Kroka tyle przykrości mu sprawiły.

Popołudniu studenci rozbiegli się na kilka mniejszych wycieczek, otoczeni z daleka opieką żandarmów i strażników. Część studentów była w Skale. Głowackiego pocieszyła nieco żona, która przybyła do niego do Ojcowa.

W piątek raniutko obudził nas gwałtownie kol. Drozdowski donosząc, że pod hotelem stoi mnóstwo wozów. żandarmów, strażników przybyłych w nocy z kapitanem kozaków i jakimś wysokim urzędnikiem podobno Dobriańskim. Zebraliśmy się szybko w ogrodzie i zjedliśmy śniadanie ciesząc się, że w końcu coś pewniejszego się dowiemy. Długi szereg wozów zrobił bardzo dobre wrażenie na nas; wiedzieliśmy, że, czy do granicy, czy do Olkusza, to piechotą nie pójdziemy. O resztę nam nie chodziło. Ukazał się Głowacki z owym urzędnikiem w ogrodzie; kapitan kozacki huknął jakąś komendę i w tej chwili wypadł z lasu oddział kozaków i w najtęższym galopie zrobiwszy wspaniały ruch, otoczył łańcuchem hotel i ogród. Wtedy odczytano nam wyrok po rosyjsku; zażądaliśmy tłumaczenia na polski język. Treść była następująca: że za manifestacyę polityczną skierowaną przeciw Rosyi skazani jesteśmy na 3 dni aresztu.

Wyrok nie zrobił żadnego wrażenia; natychmiast po odczytaniu go zaczęły długim szeregiem zajeżdżać wozy; na każdy wsadzano nas trzech i jednego żandarma. Poczem cały pochód ruszył. Nie wiedzieliśmy całkiem gdzie nas wiozą, przypuszczaliśmy tylko, że do Olkusza; żandarmi także nie wiedzieli nic. W Pieskowej Skale zatrzymano całą karawanę wozów i Głowacki oświadczył okazując nam jakiś budynek, że tu odsiedzimy karę. Okazaliśmy gwarne zadowolenie.

Umieszczono nas w ośmiu pokojach, zaopatrzonych 8 stołami, 40 stołkami i słomą; nic więcej nie było. Dziennie wyznaczano nam po 10 kopiejek na życie. Ze względu na liczną straż pilnującą dokoła aresztu naszego — zorganizowaliśmy natychmiast własną straż, która miała przeciwdziałać argusowej czynności żandarmeryi. Ustanowiono mianowicie dyżur, podług którego po kolei każdy więzień stawał w oknie frontowego pokoju na straży z zadaniem ostrzegania przed wizytą strasznego Kausza, lub którego z żandarmów. Dalej gospodarze wycieczki rozmieścili studentów po poszczególnych pokojach, uwzględniając towarzyskie ich upodobania. Ponieważ zabroniono nam palenia tytoniu — musieliśmy używać różnych sposobów dla oszukania czujności straży, do czego silnie pomagali nasi dyżurni. Na hasło: Kausz!! wywołane przez dyżurnego — gaszono gwałtem papierosy, chowano karty a także szachy, wyrżnięte z laski przez jednego ze studentów i nagle znudzone fizyonomje i niedbałe postawy przybierano.

Trzy dni aresztu odsiedzieliśmy dosyć wesoło, jakkolwiek dość głodno i niewygodnie. Dopiéro bliższe porozumienie z pilnującą nas strażą, dało możność lepszego wiktu. Nie pozwolono nam na żaden spacer, ani na kąpiel, co było bardzo przykrem w obec strasznego upału. Zabijaliśmy czas nieustannem piciem herbaty. W Piątek popołudniu przyjechało dwu kolegów z Krakowa, przywożąc nam pieniądze i 41 koszul; inne części bielizny zatrzymano na komorze.

Studenci rzucili się tłumnie do wkładania świeżej bielizny co było prawdziwą uroczystością, ze względu na czystość i „wszelakiego gada". Jedni pożyczali drugim koszule — a że część tychże przysłano bez adresów — zapewne więc nigdy nie wrócą do prawych właścicieli. Kommunizm nieznany nawet teoretycznie — zapanował w praktyce. W Sobotę przyjechał sekretarz uniwersytecki prof. Cyfrowicz i odwiedziwszy nas z Głowackim, oświadczył, że z własnych funduszów zapłaci nam rachunek w hotelu w Ojcowie, my zaś zwrócimy mu ten dług w Krakowie. Z niecierpliwością wielką doczekaliśmy się nareszcie Poniedziałku; już o świcie byliśmy na nogach. O 9 rano przybył Głowacki, z wójtem i oznajmił nam koniec aresztu. Tym samym porządkiem, na szesnastu wozach, z żandarmami i konnemi objeszczykami powieziono nas do granicy.

Kiedy z góry nad wsią Biały Kościół ukazał się w dali grzbiet Karpat, i stary Kraków z swemi wieżami, radość wielka zapanowała na wozach, długim wężem ciągnących wśród tumanów pyłu! Śmiało zapewniano żandarmów asystujących, że za godzinę będziemy w Europie. Na granicy oczekiwał nas pr. Cyfrowicz z kilkoma kolegami i wozy, wysłane po nas przez młodzież i senat — na które przesiedliśmy z wielką radością. W Modlnicy, pierwszej wsi po stronie austryjackiej, zaproszono nas do dworu Pp. Konopków, gdzie „więźniów stanu" ugoszczono ze staropolską gościnnością, która kazała zapomnąć o wszystkich niedostatkach i biedach rosyjskiego aresztu. Studenci nie mogąc odwdzięczyć się Szanownym Gospodarzom za serdeczną gościnę inaczej jak śpiewem, odśpiewali ruskie i polskie patryotyczne pieśni z niebywałym zapałem i przejęciem, a z największem zacięciem zawiedli pieśń o Bartoszu Głowackim, za którego p. Nikołaj Andrejewicz Głowacki trzymał nas trzy dni w areszcie. Tempora mutantur...

W samo południe stanęliśmy w Krakowie.

SPÓŹNIONA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że Wysokie c. k. Ministerstwo spraw wewnętrznych uchyliło orzeczenie c. k. Namiestnictwa, z dnia 6 października 1884 r. rozwiązujące stowarzyszenie „Czytelnia akademicka“ w Krakowie. Wiadomość tę otrzymaliśmy po zamknięciu numeru, z tego więc powodu ograniczyć się musimy tylko na krótkim przedstawieniu tego faktu — szersze omówienie tej sprawy pozostawiając do następnego numeru. Sprawa się miała tak:

Czytelnia akademicka, założona w Krakowie w r. 1867, według §. 22 swego statutu zostawała pod opieką senatu. W lutym r. 1884 senat akad. nadesłał uwiadomienie, że zrzeka się „opieki“ nad Czytelnią z powodu, „że nurtują tam od pewnego czasu prądy antinarodowe i antispołeczne“, wskutek czego tymczasowy nadzór nad Czytelnią, jak zresztą nad każdem innem stowarzyszeniem przypadł c. k. Dyrekcyi Policyi. W maju t. r. uchwaliło Walne zgromadzenie poprawkę §. 22 statutu o tyle, że do słów „Czytelnia zostaje pod opieką senatu“ dodano zastrzeżenie: „w y j ą w s z y, g d y b y t e g o o d m ó w i ł.“

W dniu 19 Czerwca 1884 r. upłynęły 4 ustawą o stowarzyszeniach przepisane tygodnie... Poprawka więc w statucie została zatwierdzoną. Dopiero, gdy w październiku Wydział zażądał od Namiestnictwa pisemnego zatwierdzenia poprawki statutu — otrzymał dekret rozwiązujący stowarzyszenie z powodu, że „senat cofnął opiekę.“ Czytelnię akademicką zamknięto. Na miejsce starej, rozwiązanej „Czytelni“ powstała nowa, obecnie istniejąca „Czytelnia akademicka“, rządząca się statutem narzuconym jej przez senat. Upoważnieni pełnomocnicy dawnej Czytelni (ak. Albinowski, Gross i inni) zarekurowali przeciw postąpieniu c. k. Namiestnictwa, aż wreszcie po 5 (wyraźnie pięciu) latach otrzymali reskrypt, w którym Ministerstwo spraw wewnętrznych z n o s i orzeczenie c. k. Namiestnictwa.

Reskrypt powyższy przytaczamy dosłownie:

L. 7662. Do Pana Alfreda Albinowskiego b. wiceprezesa Czytelni Akademickiej w Krakowie! — Jego Excelencya Pan Minister spraw wewnętrznych uwzględnił reskryptem z dnia 21 Marca b. r. l. 941 M J. rekurs wniesiony przez Pana Adolfa Grossa i towarzyszy przeciw orzeczeniu Wysokiego c. k. Prezydyum Namiestnictwa z dnia 6 Października 1884 roku l. $\frac{5.143}{pr.}$ którem rozwiązano stowarzyszenie Czytelni Akademickiej w Krakowie i uchylił powyższe orzeczenie, a to z następujących powodów:

Pod wyrazem „opieka“ zawartym w §. 22 statutu Czytelni nie można żadną miarą rozumieć przewidzianej prowizoryczną ustawą dyscyplinarną dla uniwersytetów z dn. 18 Października 1849 r. D. u. p. Nr. 416 władzy dyscyplinarnej władz akademickich, ponieważ rzeczona władza dyscyplinarna przez te władze z obowiązku musi być wykonana i zrzec się jej nie można,

O ile jednak pod wyrazem tym rozumiany być ma osobny protektorat senatu akademickiego nad stowarzyszeniem, to odjęcie tegoż nie może być powodem rozwiązania stowarzyszenia.

Dalsza okoliczność, że powyższe postanowienie statutów zmienione zostało przez stowarzyszenie w tym duchu, „iż czytelnia zostaje pod opieką senatu, wyjąwszy, gdyby jej senat odmówił“ nie może, pominąwszy nawet to, co wyżej nadmieniono, już z tego powodu uzasadnić zarekurowanego zarządzenia, ponieważ na uczynione w powyższym kierunku pod dniem 23 Maja 1884 r. doniesienie nie wydano w terminie przepisanym ustawą zakazu tej zmiany statutów i zmiana ta wskutek tego już 19 czerwca 1884 r. stała się prawomocną.

O czem c. k. Dyrekcya Policyi zawiadamia Pana w myśl reskryptu Wysokiego c. k. Prezydyum Namiestnictwa z dnia 4 kwietnia 1889 l. $\frac{3278}{pr.}$

C. k. Dyrekcya Policyi.

Kraków, dn. 9 Maja 1889. *Brudzyński mp.*

Obecnie istniejąca Czytelnia się rozwiązuje — a dawna napowrót do życia powołaną zostanie. Choć późno, znaleźliśmy jednak sprawiedliwość.

DZIAŁ LITERACKI.

Toast.

Smutna dumam i w ciszy myśl ważę,
Z ciszą razem i z duchem mym gwarzę:
Biorę miarę swą, płaczę ja biedna,
Żem nie jedna, o siostry, nie jedna.

O, witajcie mi siostry w nicości
W upodleniu i w ciszy; w miłości
Drobnych rzeczy i w gniciu robaczém,
Wy skarlone spoczynkiem próżniaczem!

Hejże siostry, łańcuchem się zwiążmy,
Na nienawiść swobody przysiążmy,
Hejże wznawiać nam te ideały,
Co pokorą, poddaństwem się stały,

Uwielbieniem przewodnich nam duchów,
Ukochaniem serdecznem łańcuchów,
Bałwochwalczej miłości ślepotą,
Brakiem myśli, pokorą, martwotą!

Stójmy silnie na dawnej podstawie
Przekazanych nam cichych cnót sławie,
Wznośmy toast „kobiecej godności“
Ciszy, kłamstwa, ciemnoty, bierności.

Tak wygodnie nie myśleć a znosić,
Tak bezpiecznie nie zdobyć, a prosić,
Tak uroczo drożyną wskazaną
Iść za panem z słodyczą kłamaną!

Być powojem, nie dębu rzeźkością
Nie być hartem, a śliczną miękkością,
Nie stać w zbroi na szrankach dziejowych,
A snuć życie w marzeniach tęczowych!

W dziejach myśli jałowem być echem,
Ludzi czynu promieniem, uśmiechem,
I dodatkiem być zawsze nie rdzeniem
I obrazu być tylko odcieniem!

O, serdeczne Ci ślę pozdrowienie
Pełzające i czcze pokolenie.
Nie nam do lotu, próżne mamidła!
Wszak to pawie a nie orle skrzydła!

Nie nam błękit, co orła upija,
Lecz cień gęstwi, gdzie lęgnie się żmija.
Dziecka cechy, gołębie przymioty —
Wdzięk nasz; śpiew nasz — to wróble świegoty.

Nam zuchwałych pogoni i lotów
Nie potrzeba, o plemię Helotów!
Czemuż jestem nie sama w niewoli?
W okół tłumy was — serce tak boli!

A więc siostry! niech żyje kobieta
Cudzych zmysłów narzędzie, podnieta!
A więc siostry! niech żyje nam żona,
Posłuszeństwa idea wcielona!

A więc siostry! niech matka nam żyje!
Owej matki za zdrowie tu piję,
Co da ciało, a myśli i ducha
Do tradycyi przykuwa łańcucha.

Hejże w górę podnieśmy więc szklanki,
Zdrowie naszej matrony kochanki!
Wiwat bierność! precz hart i swoboda,
Żyj nam zdrowa, żyj wiek Polko młoda!

Do snu, do snu, ułóżmy się w ciszy
Wiek za wiekiem przechodzi — nie słyszy
Tętna życia w zmartwiałem tem ciele:
O nie zbudzisz nas życia aniele!

Gabryela U....

Z wspomnień wczorajszych.

(Ciąg dalszy).

III.

Człowiek.

Głuche milczenie zalegało salę klasy szóstej gimnazjum ....skiego. Pomimo nieobecności nauczyciela gromadka siedziała w milczeniu. Twarze wszystkich zdradzały przerażenie — niejednemu krople potu zimnego z czoła spadały.

Przyjrzawszy się uważniej młodym tym rysom, spostrzedz łatwo mogłeś wspólną wszystkim twarzom cechę: pognębienie.

Nie byli to ludzie niezwykłem zdarzeniem oszołomieni, lecz niewolnicy co chwila razów oczekujący.

Siedział każdy skulony, bojaźliwie ku drzwiom spoglądając.

Po kilku minutach wpadł do izby szkolnej człowiek wielki, o dużym rudym wąsie, dziwnie małym zadartym nosie, piorunującem spojrzeniu, drobnych, głęboko osadzonych oczu.

— „Direktor!“ — szepnęli wszyscy, konwulsyjnie ściskając usta, i zrywając się na nogi.

— Siadać! ryknął „dyrektor“.

Przebiegł jak szalony kilka razy klasę wzdłuż i wszerz; wreszcie stanął przed ławkami i zawołał:

— W tej chwili, w tej chwili przyznać mi się, kto go namówił, kto? kto?, krzyknął, roznamiętniając się; powiedzieć! No! Bo rozniosę was w kawałki! Kostek waszych nie zostawię! Kto go namówił!

W klasie panowało głuche milczenie. Ofiary „nauki i wychowania“ jeszcze bardziej starały się zmniejszyć swą objętość.

Cóż mówić mieli? A gdyby i kto z nich powiedzieć co miał, i nie śmiałby — i nie mógł, fizycznie nie mógł: gardła wszystkich spazmatycznie zaciśnięte gotowe i zdolne jedynie były do łkania — nie do dźwięków mowy.

Pan dyrektor siny z wściekłości powiódł po zebranych okiem i krzyknął: „Marsz do domu!“

Jak sprężyną ruszeni chwycili za książki i bez szelestu najlżejszego, kornie schylając u drzwi głowy, wyszli.

Ponieśli do domu wieść nieprawdopodobną. Wacio Zawalny, ten Zawalny-pilny, zdolny pracowity, pierwszy uczeń, Zawalny, który najlepiej ćwiczenia pisywał, którego za ideał wiedzy i pilności mieli — Wacio Zawalny, wstał na lekcyi jeografji i rzekł do nauczyciela:

— Kłamiecie, Osipie Iwanowiczu!

Po co on to mówił! po co? czyż nie dosyć na tem, że im, kolegom swoim książką i słowem prostował fałsze, jakie nauczyciele popełniali; czyż nie poznali się, dzięki jemu na tem, co nauczyciele wykładali?

Po co to było głośno mówić?

Ale on już taki! Nie mógł wytrzymać.

Nie jednokrotnie już siłą jedynie prośby powstrzymywali go od takiego postępku, ot! otóż wypalił wreszcie! Rozpacz!

Tak rozumowali, niewolnicy, nie zdolni zrozumieć w dziecku buntu człowieka.

Tak prawili w domu zrozpaczeni uczniowie, a rodzice jaskrawo oświetlali im zgubne skutki nieposłuszeństwa władzy, braku dla niej wiary i szacunku.

— Cóż cię obchodzić może, czy unici tak czy owak na prawosławie przechodzą? a zresztą, a zresztą, kiedy pan profesor mówi, że szczęśliwi są, zostając prawosławnymi — to wierz, wierz, wierz!

— Kiedy proszę ojca, mówił jeden — drugi, Zawalny mówił i książki dawał, w których wyraźnie z nazwiskami opisano gwałty, więzienia, mordy...

— Milcz! milcz! nieszczęsny, mówiła matka, oglądając się bojaźliwie w własnem mieszkaniu.

Nazajutrz chłopcy dowiedzieli się, że Wacław Zawalny został ze szkół wydalony. Klasa szósta otrzymała surową naganę, która groziła wydaleniem każdemu, za najmniejsze przewinienie, za najdrobniejsze uchybienie.

* * *

Zawalny wrócił do domu matki. Gdy jej opowiedział o zajściu, popatrzyła nań z miłością i rzekła: i on tam pójdzie!

Miała już syna na Syberji.

Wacław pracował nad sobą. W krótce jednak pracę swoję uznał za mało produkcyjną.

Był to chłopak szczupły, mizerny z zarodkami suchot, które mu doktorzy na pewno wróżyli.

Drogą bardzo prostego rozumowania doszedł do wniosku, że jeśli żyć ma krótko, pracować musi z energją zdwojoną. I pracował.

Zaczął od nauczania bezpłatnego dzieci, biednych rzemieślników i robotników. Powoli zbliżył się do ich ojców i ci chętnie słuchali go. Słuchali tem chętniej, że mówił im o przyczynach ich nędzy, o przyczynach ich wczesnej starości i śmierci, o przyczynach niedoli ich żon, synów, córek. Roztaczał przed nimi obrazy szczęśliwszej, sprawiedliwej przyszłości, pouczał o obowiązkach przyśpieszenia tych nowych, pięknych stosunków między ludźmi.

Zyskał ich zaufanie, bo czuli, że on jest ich, że ich szczęścia pragnie, dla nich pracuje.

* * *

W trzy lata po zajściu w szóstej klasie gimnazjum ....skiego jeden z byłych jego wychowańców, teraz student petersburskiego uniwersytetu kręcił się wieczorem po dworcu kolei. Wracał od rodziców ze świąt.

Przy bladem świetle latarni widział gromadkę ludzi skupioną w ciasnej przestrzeni za żelazną kratą. Po głowie snuły mu się filozoficzne myśli o potędze materjalnej tak nędznego kawałka żelaza, które kratę tworzy, a krępuje wolę tylu jednostek! a każda z nich ma cierpienia swoje, myśli, pragnienia, cele...

W tem zdawało mu się, że ujrzał twarz znajomą... Tak to on... to Wacek Zawalny...

W pierwszej chwili chciał krzyknąć... Lecz przez mózg mu myśl przebiegła: co znowu, toć podejrzana znajomość.. i szybko od wagonu się oddalił.

Bał się na stacjach wysiadać.

Wacław z teorji przeszedł do czynów. Założył przy jednym z browarów kasę strejkową. Kiedy robotnika z fabryki wydalono niesłusznie, towarzysze zaprzestali robót, czerpiąc środki do życia z kasy. Przeprowadzono śledztwo. Zawalny, za szerzenie pojęć „dążących do obalenia istniejącego porządku", napiętnowany został przez prokuratora, imieniem „wyrodka społecznego" i skazany na pięcioletnie roboty ciężkie na Syberji.

Jeżeli nie zamrze, to wróci i pracować będzie dalej.

A nawet — i śród braci — galerników pracować będzie.

O tem myśli, idąc etapem nad brzegiem jakiejś rzeczki, tak gościnnej dla wszystkich serc szlachetnych, Syberji.

IV.

Portugalczycy.

Zwali ich przez czas pewien Zulusami z racji upodobania do barw świetnych w odzieniu. Niesłusznie. Bo kiedy Zulusi cechowali się wązkiem dobrem ubraniem, idealnie spiczastem obówiem i żółtemi guzikami kamizelki przy zwieszającej dewizie, Portugalczyk miał pewne przekonania, których bronić nawet umiał. Zulusi byli więc raczej nieuświadomionem odłamem Portugalczyków.

Portugalczycy („termin" wzięty z jakiejś operetki) za dewizę mają żyć — to użyć. Życie dla nich składa się z dwu funkcyi: ze zdobywania środków dla siebie — i używania ich dla siebie. Oto wyznanie wiary Portugalczyka, wyznanie którem się szczyci, klnąc się na Spencera i Malthusa, Hartmana i księcia Bismarka. (Ten ostatni zdaje się być dla nich ideałem prawdziwego człowieka.)

Z piosenką na ustach, z miną wiecznie wesołą płynęli oni spokojnie po, tak burzliwych dla wielu, falach życia uniwersyteckiego, budząc podziw w maluczkich, którzy do ich grona nie dostąpili; no — i wstręt w sferze, którą z góry traktowali; była ta sfera garstką wyrzutków społeczeństwa; to „niebezpieczne" elementy, co się w ramy istniejące wepchnąć nie dały, a spokojnym obywatelom trawienie zakłucają.

Ale i wesoły Portugalczyk umiał się unieść, umiał oburzeniem wybuchnąć. Niech się ktoś odważył spokój jego zamącić. przerwać błogostan jego pełnego brzucha i rumianego oblicza, wtedy biada zuchwalcowi! jak „jeden mąż" staną i gotowi — obiadu nie dojeść, a śmiałka ukarać.

Znanym między niemi był Artur Sadlicz. Chłop był tęgi, wysoki. Natura w gruncie nie zła, uczuciowa, miał Sadlicz jednak charakter słaby. Sławny był z tego, że najsutszy obiad w przeciągu dwu godzin strawił. Budził tem podziw kolegów, którzy umyślnie do niego po sutej wspólnej kolacyi nocować chodzili, aby naocznie przekonać się, czy się Sadlicz naprawdę w nocy zerwie. Samodzielności żadnej prawie. z zdaniem własnem rzadko się odezwał: wierzył w nieomylność swych dwu przyjaciół: Skopskiego i Ładackiego.

Samodzielności swojej dał jedyny upływ: mistrzem był, jako cicerone szlachty „z swojej okolicy," która do Warszawy przyjeżdżała. Odwoził ich, z zaparciem się litości nad końmi dorożkarskiemi, od rana do późnej nocy (raczej do następnego rana), od Marcelina aż w okolicę cytadeli. Dla tego n. p. podczas jarmarku na wełnę wymawiał swej gospodyni stołowanie, a pomimo to trawił po kilka razy dziennie.

Odmienny typ stanowił Skopski. Był to człowiek myślący, potrosze nawet człowiek nauki. Gdyby nie moskiewskie rządy byłby pewnie wkrótce profesorem; pochodził z „pięknej" rodziny, bywał w „pięknych" domach, ale że umiał z prawdziwą godnością bywać i w domach urzędnictwa rossyjskiego, więc nie tracił nadziei przypięcia się do którego z uniwersytetów w Rossji.

Mieszkanie tego studenta było urządzone z gustem sybaryty. Okiennice pokoju sypialnego (zajmował trzy pokoje) były perjodycznie przez stolarza doglądane, czy się nie tworzy gdzie szpara, któraby właścicielowi niewczesnym swiatła promieniem, sen przerwała. Życie spokojne i hygijeniczne wysoko cenił; dla tego zwykle mawiał:

Wolę żeby mię potrójnie kosztowało ale utrzymankę zawsze mieć muszę.

Strzegł się ten młody człowiek wszelkich wzruszeń bo te źle (jak mawiał) służą: niedospać gotów — a ztąd niedostateczna trzeźwość umysłu, pogoda duszy — no i cera niewyraźna, oczy zamglone,

Na wszelkie porywy „młodzieży" (wyraz ten szczególnie jakoś wymawiał) patrzył, nie żeby z politowaniem, ale z poczuciem swej wyższości, że on już nie błądzi. Był to materyał na powszechnie szanowanego uczonego; szkoda że nie człowieka.

Ładacki był trzecim z luminarzy Portugalii naszej. Była to osobistość najwięcej wybitna, ogólnie znana i podziwiana. Cechą charakteru jego była otwartość (może bezczelność). Wyznawał zasadę: kto posiada, ten prawa do posiadania tem samem dowodzi; środki, jakimi się do po-

siadania dochodzi dzielił na: godziwe, któremi się celu dopina, i niegodziwe, które nic w zysku nie dają. Nie ma czynu, wołał, któryby był niemoralny, jeśli jest praktyczny. Pomimo to nie był potworem i — nie kradł. Ale za to zabijał moralnie słabe jednostki, które się doń zbliżyły. Gładki, dowcipny, sprytny, pomimo, że otwarcie przyznawał, że w przyjaźń nie wierzy, miewał chętnych co z nim żyli blizko.

A reszta! o ile kto umiał naśladował zewnętrzne i wewnętrzne przymioty mistrzów. Były długie palta u nas kiedyś modne, bo takie Skopski kupił; były grzywki modne, bo grzywkę Sadlicz nosił; powtarzano z zachwytem dowcipy Ładackiego. Czasem się i kto z tłumu na coś samodzielnego zdobył. ale czekał wtedy niespokojny, co starszyzna powie.

Moralny wpływ jednak, jaki wywierali na ogół, był poważny. Stanowiąc grupę, która zwracała na siebie uwagę ogółu, pociągali wszystkie słabe natury na swoje drogi. Nie jedna jednostka z dobrymi skłonnościami, oszołomiona pseudo-naukowemi frazesami tych pasibrzuchów i opojów zasmakowała w ich życiu i pojęciach.

Ironiczny uśmiech, jakim przyjmowali każdy objaw humanizmu, mroził nie wyrobionych, choć szlachetnych kolegów, i osłabiał wiarę w podnioślejsze zadania obywatela kraju.

Hasło troski o własną jedynie szczęśliwość wszczepiane przez takie poniekąd autorytety — zatruwało zgnilizną moralną otoczenie.

Gdy zaś przyszło do starć między nieliczną grupą, która szerzyła pojęcia szerszych obowiązków, wtedy jak osy rzucali się na nich bracia Portugalczycy — wtedy i sybaryci i „prędko-trawiący“ nie szczędzili zabiegów i nie przebierali w środkach by „hydrze przewrotu“ głowy podnieść nie dać.

Takiemi byli w stosunku do kolegów.

Dla władzy mieli ukłon pełen szacunku, dziwili się malkontentom, którzy gwałt w panowaniu Moskiewszczyzny widzieli. Ich zdaniem dobrodziejstwo pewne nam czynią, opiekując się „tym nieszczęśliwym krajem.“

A co by to było, gdyby czujne oko władzy nie stłumiło „rewulucyjnego elementu“! Stali więc przy władzy.

Dla społeczeństwa byli miłemi koserwatorami w poście, piknikowcami — w lecie a dzielnymi tancerzami podczas karnawału.

I zyskali sobie poklask świata, i rośli na „naszych wielkich“ i naszych „uczciwych“ i „poważnych“

Niechaj im ich występkow przyszłość nie policzy!

* * *

Przypominam sobie właśnie jeden z wypadków, z którego można sobie mniej więcej urobić pojęcie o sposobie myślenia i postępowania braci Portugalczyków.

Obchodzono imieniny Sadlicza. Prócz gospodarza znajdujemy towarzystwo z 6 osób. Więc Skopski i Ładacki dalej dwaj nieodłączni, Patelnicki i Ruszowski, młodzieńcy o flegmatycznym ruchu i spojrzeniu, o krótko przystrzyżonych bokobrodach; nierozłączni — Patelnicki głupi ale bogaty Ruszowski — mądry i więtrzący karjerę. Dla Patelnickiego sąd Ruszowskiego był alfą i omegą wiedzy ludzkiej, Ruszowski widział w Patelnickim bogatego protektora. Prócz nich widzimy Sliwowskiego — typ to wiejskiego pól-panka, gra w karty mistrzowsko, sławny z tanich miłostek, specjalista od szwaczek i modniarek miasta Warszawy; od niechcenia wzmiankuje o swem potomstwie rozrzuconem po królestwie. Niechętnych sobie przekonywał — pięścią; zdarzała się tego potrzeba przy kartach lub bilardzie.

— Pereat kołowacizna ideałów, wzniósł toast Skopski. Szkoda wina na tak błachy cel. Zginie to samo przez się. Zjedzą się sami i rozpłyną w swych ideałach. Co najwyżej strzępki dobrych chęci po torbach dziadowskich włóczyć będą, odkrzyknął Ładacki.

— No, ale nie bez ideałów i my żyjemy; ale bez tych ckliwych, co odurzają i człowieka z drogi prawdy naukowej sprowadzają, odrzekł sentymentalnie Sadlicz.

— Precz z wszelkiemi ideałami, nie mydlmy sobie oczu; życie to nie poezya. Zdrowie księcia Bismarka!

— Alcż nudzi mię ta wasza filozofija, krzyknął Sliwowski.

Ot, gdyby dziewczyna!

— Dziewczyny! podchwycił Patelnicki.

— Dobra! więc dawaj. Tylko że druga w nocy.

Wpadli w głęboką zadumę. Myśleli.

— Mam rzekł Sadlicz. Tu obok mieszka jakaś damulka. Djabli ją wiedzą zdaje się nie swięta. Ładna bestja — tylko dumna jakaś. Nie tykałem bom był w ostatnich czasach goły. Szkoda tylko że jej nie znasz.

— Nie szkodzi! nie szkodzi! krzyknęli chórem. Zaraz się poznajomimy.

I tłumnie wyszli do sieni.

Poczęto do drzwi sztukać. Z za drzwi ozwał się głos kobiecy, stracha nutą nabrzmiały:

— Kto to? co?

— Niech pani otwiera!

— Co znowu! proszę odejść. Źle panowie trafili — Proszę, błagam!

— E co tu gadać. Otwieraj,.... natychmiast krzyknął podochocony Ładacki.

— Łajdak! odrzekła kobieta.

— Oho zna twoje nazwisko.

— Milczeć! słuchaj, otwieraj bo ci drzwi wyłamiemy!

I sypnęły się najbezecniejsze obelgi, na które bezbronna kobieta odpowiedzieć nie śmiała.

— Panowie, krzyknął Sadlicz, gdy zmęczeni i zirytowani niepowodzeniem wrócili do pokoju, Panowie, musimy się zemścić na tej....

— Słusznie! koniecznie! pochwycili.

— Otóż: znam urzędnika cyrkulu — a więc...

Rozumiemy, rozumiemy!

Nazajutrz szlachetną myśl wykonano.

Biedną kobietę zawezwała policja i polegając na zaręczeniu „studentów“ Ładackiego, Ruszowskiego, Sliwowskiego, zaliczyła ją do rzędu kobiet publicznych....

Tak się mści w imię swych ideałów Portugalia.

W OGNISKU.

Hannibal ante portas (czyli pogłoska o proteście przeciw Ognisku) — Krakowska młodzież w obec Ojcowskich aresztowań. — Antysemityzm w Czytelni akademickiej. — Bratnie słowo do gimnazyalistów.

Kiedy wyjść miał majowy numer „Ogniska,“ rozeszła się po Krakowie pogłoska że konserwatywna część młodzieży wydaje przeciw nam protest, który zaopatrzony w liczne podpisy miał być wręczonym redakcyi po wyjściu numeru. Podług pogłoski protest ten miał być broszurą, w której przeciwnicy nasi w sposób naukowy zbijają poglądy wyrażone w I. numerze naszego pisma. Po Krakowie całym mówiono o owym proteście,

który w szeregu pocisków jakie otrzymaliśmy miał być ostatnim, zagładę niosącym nam, ciosem. Oczekiwaliśmy tedy protestu i ciosu uzbroiwszy się w słowiańską cierpliwość w oczekiwaniu. Wydaliśmy II. numer, który prokuratorya skonfiskowała — protest mógł dopełnić tryumfu przeciwników — ale nie nadszedł; wydaliśmy nowy nakład pisma z opuszczeniem inkryminowanego artykułu — a protestu nie widać; w końcu młodzież należąca do partyi „Ogniska" nadesłała nam list otwarty w którym wyraża nam zaufanie i protestuje przeciw owemu mitycznemu chyba protestowi. — Straciliśmy już cierpliwość w oczekiwaniu; czy domniemani autorowie domniemanego protestu spostrzegli jakie braki w naukowem zbijaniu naszych poglądów, czy przestraszyli się pogłosek, jakie zaczęły krążyć o sposobach ściągania przez nich podpisów pod swój protest, czy obawiali się losu p. Łaszowskiego i Spółki, czy też wstyd im było stanąć przeciw nam w jednym rzędzie z policyą? Bądź co bądź — musieli mieć ważne powody że pozwolili na to, aby kontr-protest, sporządzony przez partyę „Ogniska" doszedł nas prędzej niż ich robota. Może wreszcie ich „protest" jest istotnie pogłoską tylko. Wygrywamy w takim razie podwójnie — bo na samą tylko pogłoskę o jakimś proteście przyjaciele nasi nadsyłają nam votum zaufania.

Dziękujemy stronnikom naszym za dowód wiary w nas; zanadto jednak cenią naszych przeciwników, którzy swem wahaniem się i niewiarą w to co sami robią — dają najlepszy wyraz swej słabości. Przyjaciele nasi i stronnicy podjęli walkę z — wiatrakami,

. . . .

Dając na innem miejscu szczegółowy opis całej afery „ojcowskiej", pragniemy tutaj kilku słowy przedstawić, co się pod ten czas działo w Krakowie. Kiedy dwóch zbiegów, którym udało się szczęśliwie omylić czujność straży rosyjskich, przybyło do Krakowa, wiadomość o uwięzieniu pozostałych 42, przyniesiona do Czytelni, rozeszła się natychmiast po mieście, budząc zainteresowanie lub obawę.

Prezes Czytelni kol. Miśko udał się natychmiast do Senatu, prosząc o przedsięwzięcie kroków w celu uwolnienia zatrzymanych kolegów. Jego Magnificencya Rektor Kasparek porozumiał się z dyrektorem policyi p. Englischem, który natychmiast wysłał do Ojcowa komisarza p. Kostrzewskiego. Kol. Miśko nie ograniczył się do tej urzędowej akcyi, lecz zarządził składkę a zebrane pieniądze zawiozło uwięzionym kilku dobrej woli kolegów. Gdy sprawa się nadto przewlekała zwołał kol. Miśko wiec, aby się zastanowić nad dalszymi krokami i środkami.

Na wiecu obok licznie zebranej młodzieży znajdowało się aż dziewięciu profesorów z p. Rektorem, który wiec zainaugurował, oświadczając swą gotowość do wykonania jego uchwał. Wtedy kol. Górski Gabryel, jeden z tych, którzy pieniądze wozili, zdał sprawę z wszystkiego co widział i słyszał, prosząc obecnych, aby sprawy nie lekceważyli i kroki poważne przedsięwzięli. Objaśnienia osobistej natury dawali zgromadzonym dwaj zbiegli szczęśliwie koledzy.

Po kilku innych jeszcze przemówieniach uchwalił wiec:

1) Całą sprawę złożyć w ręce Senatu, który ma działać w porozumieniu z Wydziałem Czytelni.

2) Zbierać dalej pieniądze na koszta, żywność i pokrycie ewentualnej grzywny.

3) Wysłać co rychlej bieliznę i najkonieczniejsze drobiazgi uwięzionym.

Na tem wiec się zakończył. Nazajutrz wyjechali do Ojcowa 3 delegaci z pieniądzmi i bielizną ze strony kolegów, ze strony zaś senatu udał się tamże prof. Cyfrowicz. Załatwiwszy swą missyę wrócili z pocieszającą wiadomością, że po odsiedzeniu 3-ch dni „kozy" powrócą wszyscy do Krakowa.

. . . .

Sprawa ojcowska przerwała trochę ruch, jaki w Czytelni od miesiąca panuje. Mimo letniego półrocza, w którym zazwyczaj drzemka w Czytelni na dobre się rozsiada i mimo niebywałej kanikuły rojno tam i gwarno. Cały ten ruch wywołał jeden człowiek kol. Z. Seweryn, który przyjechawszy z Wiednia i zapisawszy się na nasz Uniwersytet, skorzystał z pierwszej nadarzonej sposobności, aby rzucić tu bombę antesemityzmu, odgrywającego dziś we Wiedniu niepoślednią rolę w życiu publicznem. W ciągu jednego miesiąca odbyło się aż 3 odczyty i pogadanki w tej kwestyi, a każde posiedzenie trwało po kilka godzin i było bardzo ożywione. Pierwszą pogadankę „o filosemitach i antisemitach" miał kol. St. J. Dobrowolski w której potępiając antisemityzm oświadczył się za asymilacyą. Następnie wygłosił kol. Suesser odczyt p. t. „antysemityzm jako objaw dziejowy," a opierając się na dziełach Koppa, Haasego i Krausharra starał się również zbić wywody antisemitów. Głównym krytykiem i oppozycyonistą obydwu prelegentów był kol, Seweryn który w kilku swoich przemówieniach rozwinął cały program antisemityzmu. Dzięki swej swadzie i intelligencyi zjednał sobie wielu zwolenników, którzy po większej części jedynie tylko oklaskami manifestowali antysemickie swe uczucia. Wreszcie kol. Szeptycki w odczycie „ostatnie słowo antysemityzmu" zaznaczył, że jedyną deską ratunku przeciw wzmagającemu się wpływowi żydów jak i przeciw wszelkiemu złemu widzi w Chrześcijaństwie, które na pewno ludzkość wybawi i uszczęśliwi.

. . . .

Pragnąc stanąć na jak najszerszych podstawach, pragnąc dopuścić do głosu istotnie całą uczącą się młodzież polską, po wezwaniu do pracy kolegów ze wszystkich wyższych zakładów naukowych, zwracamy się obecnie do szkół średnich: realnych i gimnazyalnych, które rok rocznie wyrzucając z siebie tylu ludzi, poświęcających się studyom wyższym, nie mogą nam być obojętne. Jeżeli wiele braków czujemy w uniwersytecie, o ileż więcej widzimy ich w szkole średniej, zwłaszcza w gimnazyum, które jest mumią, liczącą w sobie co najmniej cztery wieki.

Program „roboty“ gimnazyalnej to doprawdy czysta ironia; gdyby jaki obywatel księżyca lub Marsa dostał się przypadkiem na ziemię i przejrzał program studyów gimnazyalnych, pomyślał by sobie, że żyjemy dopiero w XV w., gdyż przypuszczałby naturalnie całkiem słusznie, że program wychowania odpowiada potrzebom społeczeństwa i bieżącej chwili. Jakżeby się gorzko zawiódł. Ludzkość postępuje, potrzeby społeczeństwa zmieniają się, ale gimnazyum jest na to wszystko nie czułe. Wszechwładna acz martwa i zabójcza rutyna jest podwaliną średniego wychowania. Profesorowie w znacznej większości sługami rutyny, wyrobnikami, odrabiającymi przepisaną ilość godzin pracy szkolnej.

Posłuszeństwo dla władzy świeckiej i duchownej (przedewszystkiem), bezwzględna wiara w słowa nauczyciela, przeżuwanie nad wyraz niestrawnych formułek gramatycznych języków klasycznych, karmienie się biografiami królów i książąt, oraz opisami prowadzonych przez nich wojen i stoczonych bitew, co wszystko nazywa się historyą i t. d., i t. d., oto „duchowy obroczek,“ jakim karmi młodzież szkoła średnia, nie tylko nie rozwijająca zdolności ale nawet zabijająca je.

Podczas gdy akademik n i e s ł y s z ą c n i c o d p r o f e s o r ó w p o z a w y k ł a d a m i f a c h o w y m i, posiada na tyle swobody uczenia się i studyowania, aby sobie przy odrobinie umysłowej samodzielności te braki drogą samokształcenia się uzupełnić, student gimnazyalny ma na tej drodze do zwalczenia bardzo wielkie, prawie nie pokonane trudności. Od rodziców słyszy od rana do wieczora, że jedynym celem jego młodości jest zdanie matury, aby się módz dostać na uniwersytet i dorobić się kawałka chleba. Z tej więc strony nie może się spodziewać ani zachęty ani pomocy w samokształceniu się, któreby choć zrównoważyły szkodliwe wpływy szkoły. Nauczyciele oczywista tem bardziej będą polecali gorliwe „kucie,“ aby świadectwo wypadło ładnie; koledzy — żal się Boże! Słowem nikt, ale to literalnie nikt nie poda pomocnej ręki i lata się marnują i życie mija i smutno duszy człowieczej.

Zresztą trudno jest istotnie zabrać się uczniowi gimnazyalnemu do samokształcenia się, gdyż praca obowiązkowa, jeżeli ją chce wypełnić sumiennie, zabiera mu wszystek czas, jaki pozostaje do rozporządzenia po za godzinami szkolnemi i niezbędnym spoczynkiem. Stąd musiałby powstać konflikt między obowiązek odpowiedzenia zadość wymaganiom programu nauki gimnazyalnej a obowiązkiem samokształcenia się.

Student gimnazyalny do samodzielności umysłowej nie, przyzwyczajony wchodzi na uniwersytet i traktuje swoje studya również gimnazyalnie, nie wybiegając myślą po za wykład profesora, który notuje sobie z mnóstwem błędów rzeczowych; wchodzi w życie akademickie nie mając o niem wyobrażenia, nie rozumiejąc go. Zdaje mu się, że dźwiganie na swych barkach mnóstwa godności akademickich jest należytem i właściwem korzystaniem z praw i autonomii obywatela akademickiego. Myli się i nabywa przeciwnego przekonania, lecz zazwyczaj zapóźno. Upojony wolnością łapie się na szumny frazes pierwszego lepszego, który ładnie mówić umie i rozwija w sobie tkwiące w głębi każdego człowieka owcze popędy.

W pewnej części zapobiegają temu „nowicyaty,“ zaprowadzone w naszych galicyjskich stowarzyszeniach akademickich, które oznaczają, że akademik w pierwszym roku należenia do instytucyi nie ma prawa wyboru i wybieralności, co mu jednak nie przeszkadza być członkiem mnóstwa kółek pseudo-naukowych, nie tylko członkiem zwyczajnym ale wydziałowym a nawet „prezesem,“ nie przeszkadza mu być członkiem mnóstwa komitetów, w których bardzo pracowicie traci czas i marnuje zdolności. Albo też w ciągu nowicyatu związuje się z ludźmi, którzy jego nieświadomość wyzyskać umieją — a następnie będąc już czynnym członkiem iść za niemi musi, siłą przyrzeczeń sojuszu i t. p.

Wszystkiemu temu możnaby zapobiedz, gdyby uczniowie gimnazyalni zwłaszcza w klasach siódmej i ósmej mogli nabierać większej umysłowej samodzielności. Zanim jednak to nastąpi, a nastąpi wcale nie prędko, trzeba sobie radzić w inny sposób, aby zapoznać się choć powierzchownie z tym ruchem, jaki istnieje wśród starszej młodzieży uniwersyteckiej.

Pomocy w tym kierunku udzielić może „Ognisko,“ które stara się wiernie odzwierciedlić to życie akademickie, poruszając w swych łamach wszystko, co tylko do publicznej dyskusyi się nadaje i objaśniając według przyjętych przez siebie kryteryów. Tu mogą młodsi koledzy gimnazyalni poznać powoli te tajemnice życia akademickiego, którego sami wkrótce staną się uczestnikami, a poznawszy uniknąć długiego błądzenia i macania na oślep, aż nareszcie dojżą coś w chwili, gdy przyjdzie im uniwersytet opuścić i rozpocząć życie obywatelskie. Gdy „Ognisko“ jest organem „uczącej się młodzieży polskiej,“ bardzo chętnie będzie pomieszczać korespondencye lub głosy uczniów gimnazyalnych, poruszające kwestye piekące, które podda dyskusyi i rozwadze. Miło nam będzie wypełnić ten rozdział, istniejący zawsze między młodzieżą gimnazyalną a uniwersytecką, rozdział sztuczny i bardzo szkodliwy. Wiemy z góry, że rola kolegów gimnazyalnych będzie na teraz bierną lecz tuszymy sobie, że tem łatwiej i pewniej przyjdzie im następnie odegrać rolę czynną.

SPRAWOZDANIA I KRYTYKI.

Dr. Ferdynand Źródłowski, profesor uniwersytetu lwowskiego. *Das Schulwesen und seine Verwaltung. Reform der Volks-, Buerger-. Mittel- und Hochschulen.* Lipsk, 1889

Autor należy do rzędu tych nielicznych Polaków, których imię jest znane w całej Europie. Jako pierwszorzędna powaga w rzeczach prawa rzymskiego został prof. Źródłowski z uniwersytetu niemieckiego powołany na lwowski. i jest tu w sferach prawdziwej inteligencyi wysoce ceniony, jako człowiek liberalny, szlachetny, wobec studentów uprzejmy i uczynny. W ostatnich czasach postanowił opuścić cichy gabinet uczonego i puścić się na kipiące fale kwestyj aktualnych. Przy wydaniu jednak powyż-

szego dziełka, spotkał się z konfiskatą. Powodem — ostry, bezwzględny sąd, jaki autor wydaje o religii i kościele katolickim. Nie poruszając więc wcale inkryminowanych ustępów, postaramy się zaznajomić czytelników z treścią książki, która ze wszech miar jest uwagi godną, jakkolwiek na wiele jej punktów zgodzić się nie można.

Szkolnictwo — reforma wychowania publicznego — toż to najważniejsze zagadnienia współczesne! Prof. Źródłowski nie roztrząsa ich ze stanowiska teoretycznego; zaznaczając kilkakrotnie, iż pisze z pamięci, czerpiąc tylko z bezpośrednich doświadczeń i spostrzeżeń daje do zrozumienia, iż nie chciał i nie mógł dać rozprawy naukowej, lecz szereg licznych uwag publicystycznych. Oto główne ich punkta: Od szkół ludowych wymaga, by dawały głębszą, gruntowną wiedzę, aby uczeń opanował zupełnie materyał naukowy. Wymaganie to, w całej pełni za wielkie nawet dla szkół wyższych, uzupełnia autor szczegółowym planem i rozkładem nauk, którego główne punkta zaznaczymy pokrótce:

Uczniowie mają się uczyć jednego tylko języka, z wyjątkiem miejscowości (n. p. w Czechach), gdzie dwa języki są panującymi. Potrzeby nauczania języka niemieckiego w słowiańskich szkołach ludowych, prof. Ź. nie uznaje. Przeciwko obecnym metodom pedagogicznym, obładowującym głowę dziecka niezmiernym balastem reguł gramatycznych, geometrycznych, miejsc i nazwisk, autor stanowczo występuje, jakoteż przeciw wszczepianiu zasad teraźniejszych katechizmów, domaga się zaś większych przerw, urozmaiceń i wspólnych zabaw dla dzieci. O ogródkach froeblowskich, o nauce poglądowej i nauce zręczności (slöjd) autor nie wspomina. Podług jego planu zajmowałaby nauka: w pierwszej klasie 12 godzin tygodniowo (czytanie, pisanie i rachunki), w czwartej — 17 godzin (obecnie siedzą uczniowie tej klasy około 25 godz.), z których 12 godz. poświęca czytaniu i pisaniu, jedną — religii a po dwie — śpiewowi i gimnastyce. Zarysy geografii, historyi i zoologii, jakoteż obznajamianie się z urządzeniami politycznemi i gminnemi, zostawia autor piątej i szóstej klasie szkół wydziałowych. A młodzież wiejska — zapytamy — nie powinna znać tych przedmiotów, z dodatkiem nauki gospodarstwa, chowu bydła, ogrodnictwa? w ogóle, w zbytnią specyalizacyę autor się nie wdaje, zostawiając wrażenie, jakoby bez uwzględnienia czasu i stosunków wszystkie szkoły na jednę modłę chciał zorganizować. Nie można jednak zaprzeczyć, że i wiele zdrowych uwag podaje, z których szczególnie podnosimy żądanie, aby uczeń w szkole wyuczał się zupełnie żądanych przedmiotów, a nie potrzebował w domu nad niemi pracować.

Tę sąmę zasadę stosuje prof. Źródłowski i do szkół wyższych, czyniąc ją podstawą oryginalnego, i bądźcobądź uwagi godnego systemu. Autor uprzedza nas, iż uwagi jego są rezultatem długoletnich doświadczeń i rozmyślań.

Abiturient szkół średnich powinien — zdaniem autora — stać na takim stopniu dojrzałości duchowej, aby mógł się oddać studyom fachowym, i posiadać taki zasób sumiennej wielostronnej wiedzy, ile potrzeba, aby być ogólnie wykształconym, harmonijnie rozwiniętym umysłem.

Na »klasycyzm« w gimnazyach autor silnie uderza. Metoda nauczania języków jest tam najbłędniejsza, a zresztą, nie język, lecz znajomość tego, co w tym języku pisano, daje wykształcenie humanistyczne (?!) To znowu powinien (?) posiadać każdy człowiek, przeto odpada przedział między gimnazyami i realnymi szkołami, które autor radby całkiem inaczej urządzić.

W gruncie rzeczy nie ma on nic przeciw wykreśleniu z planu nauk łaciny i greki, ale zostawiając je gwoli panującej opinii, żąda reformy nauczania, i wprowadzenia oprócz nich, jako przedmiotów obowiązkowych: języka francuskiego, angielskiego, włoskiego. W Galicyi — dodamy — uczeń ma jeszcze język polski, ruski i niemiecki, uczyłby się zatem około 8 języków. Żądanie to w pierwszej chwili wydaje się.. trochę ekscentrycznem, ale autor motywuje je i wykazuje możliwość, tak że poważnie zastanawiać się nad niem należy. Nie jest celem nauki — powiada autor — by uczeń władał w mowie językiem, lecz by mógł czytać autorów, a temu zadaniu szkoła podoła. Tak jest! odpowiemy na to, lecz czytanie autorów nie jest w sobie celem. Twierdząc, że w praktyce życia człowiek zapomina języki klasyczne, chce autor dla tej fali zapomnienia przygotować także język włoski i angielski. Przypuszczamy, iż człowiek fachowo wykształcony i pracujący nie będzie dalej w tych językach się kształcił, aby zaś kontynuować ogólne swe wykształcenie, poznawać zdobycze nauki i postęp czasu, wystarczy piśmiennictwo niemieckie i francuskie, które w dodatku mają w doskonałych przekładach wszystkie wybitniejsze dzieła literatury powszechnej.

Prof. Źródłowski, prawnik i filolog potrosze, kładzie główną wagę na »humanizm«, mybyśmy punkt ciężkości zwrócili ku wykształceniu przyrodniczemu i społecznemu. Autor uwagi prawie nie zwraca na to. Poświęcając wiele miejsca drobnostkom i administracyi, nie zatrzymuje się wcale nad naukami przyrodniczemi; potępiając stanowczo teraźniejsze wychowanie religijne, dodaje równocześnie, iż w podręcznikach i wykładach szkolnych nie powinny się znajdować (sollen keine Aufnahme finden) »niedojrzałe, niegotowe teorye o powstawaniu świata«, wylęgłe w ostatnich czasach, t. j. Darwinizm. Nie uwzględnia szan. profesor okoliczności, iż podobna nauka zaniedba jedno z najważniejszych swych zadań, nie wychowa młodzieży religijnie ani wolnomyślnie na podstawie teoryj przyrodniczo-filozoficznych, nie wytworzy w niej zatem jednolitego, wyższego na świat poglądu, ani prawdziwej moralności.

W dalszych uwagach oświadcza się autor przeciw egzaminom dojrzałości, uważając je raczej za szkodliwe, przeciw teraźniejszym inspekcyom, przeciw rozporządzeniu Gautscha, znoszącemu lokacye, za całkowitem zniesieniem wpisowych i opłat szkolnych, motywując te swoje poglądy jędrnie i często bardzo trafnie. Z planu nauk wyjmiemy następującą tabliczkę: I. klasa szkoły średniej: niemieckie, historya, geografia — 12 godz. tyg.; zoologia i rysunki po 2, arytmetyka, kaligrafia i gimnastyka po 3 godz., razem 25 (+ polskie) godz. tyg. W 2. klasie przybywa język francuski, w 3. — botanika i łacina, w 4. — algebra, geometrya, stenografia i włoski, w 5. — chemia, w 6. — fizyka i angielski, w 7. — greka i filozofia, tak że klasa ósma, urządzona podług planu prof. Źródłowskiego zabiera wprawdzie 37 godz. tyg., lecz nie wymaga pracy pozaszkolnej, ani galopady do matury, i zawiera w podziale godzin: 7 godz. niem., hist. i geografii; po 2. — algebry z geometryą, stenografii, gimnastyki, po 3 — fizyki, języków francuskiego, włoskiego, łacińskiego i greckiego (+ polskiego) 5 — angielskiego; 4 — filozofii, propedeutyki. Autor nie wszędzie motywuje swe projekta, ale wiele świeżych i zdrowych ziaren znajduje się w nich.

Przystępując do omawiania szkół najwyższych, wyraża prof. Ź. życzenie, by one wszystkie tworzyły jeden uniwersytet, złożony zatem z dotychczasowych 4. fakultetów, dalej z techniki i akademii rolniczej. Osiąga się przez to znaczne korzyści, wyrównywa się różnice między profesorami i uczniami tych zakładów, umożliwia się zmniejszenie personalu nauczycielskiego i wydatków na laboratorya, muzea, biblioteki, a łącząc istniejące ze sobą, odkłada się ogromną ilość duplikatów dla szkół średnich. Następnie przemawia przeciw niższemu stanowisku i gorszemu uposażeniu profesorów techniki od profesorów uniwersytetu; ostatni mają reprezentanta w sejmie, pobierają wpisowe, a profesorowie techniki praw tych nie mają. Jeśli nauka nie może być całkiem bezpłatną, niechby przynajmniej wpisowe wpływały do skarbu państwa a nie do profesorów, na których to — zdaniem autora — źle wpływa. Honoraryum takie można zostawiać tylko docentom prywatnym. Energicznie uderza autor na profesorów, piastujących mandaty poselskie, żądając, aby z ich pensyj opłacano zastępców; na wymaganie, by adwokaci posiadali tytuł doktora praw, na opłaty przy rygorozach i doktoryzacyach; na podział roku szkolnego na dwa semestry, na teraźniejsze terminy egzaminacyjne i t. d. podaje szczegółowy program wykładów dla fakultetu prawniczego. Do wyboru rektora radzi przypuszczać także studentów. Kilka stronnic poświęca kwestyi ruskiej, t. j. wykładom w języku ruskim na uniwersytecie lwowskim. U prof. Źródłowskiego jest dopuszczanie do wszystkich katedr także i profesorów ruskich czystym aktem sprawiedliwości, w imieniu tych samych zasad, na które powoływali się Polacy przeciw germanizacyi. Surowo krytykuje autor teraźniejszą partyę, rządzącą w kraju, która Rusinów gwałtem polonizuje; na uwagę, że ruskich docentów nie ma, odpowiada, że znaleźliby się, między nauczycielami szkół wyższych, gdyby byli pewni profesury; — uwagę, że Rusini nie posiadają literatury naukowej, zbija twierdzeniem, że i Polacy przy spolonizowaniu lwowskiego uniwersytetu nie mieli sił nauczycielskich, ni dzieł odnośnych dla wszystkich dziedzin wiedzy, żaden naród europejski nie posiadał ich w czasach panowania łaciny na katedrach, bo literatura wypływa z nauki, tę więc należy wprzódy zaprowadzić.

Rozdziałem o stypendyach kończy autor swe dziełko. Nie można mu odmówić wartości i wagi społecznej. Znajduje się w niem wiele uwag trafnych, śmiałych i oryginalnych, pobudzają one do myślenia, wypływają z pod pióra wybitnej inteligencyi — szkoda, że są tylko.. grochem o ścianę.. Wiek XX. uwzględni niejeden pogląd prof. Źródłowskiego, ale wówczas pan Gautsch zdaje się nie będzie już ministrem oświaty...

W. F.

Odpowiedź Ernesta T. Breitera na recenzyę pracy jego p. t. »Władysław ks. Opolski« napisanej przez Kazimierza Górzyckiego.

Na recenzyą pracy mej p. t. »Władysław ks. Opolski« zamieszczonej w Iszym numerze »Ogniska« zmuszony jestem odpowiedzieć w obronie prawdy historycznej i w obronie swej własnej, gdyż szan. recenzent p. Górzycki przekręca fakta przezemnie podane, i imputuje mi zdania i twierdzenia, których nigdy nie napisałem. W trzecim ustępie swej recenzyi mówi krytyk, że Opolczyk sprawował obok Ludwika i Maryi urząd »pierwszego ministra«. Gdyby p. G. był uważnie pracę mą przeczytał, to nie byłby nigdy doszedł do tego zdania że ów książę był ministrem

Maryi. On był tylko ministrem Ludwika i był nim aż do roku 1372, a Marya została królową Węgier dopiero 1382 roku a więc wtedy kiedy on już na Węgrzech żadnej godności aż do swej śmierci nie piastował. Pan Górzycki żąda koniecznie bym mu oznaczył dokładnie datę urodzenia Opolczyka. Gdyby szan. krytyk znał przedmiot omawiany, to nie stawiałby tego rodzaju żądań, gdyż dla oznaczenia tej daty nie posiadamy żadnych wskazówek. Co więcej szan. recenzent wyczytał gdzieś w mej pracy (sam nie wiem gdzie, ani on z pewnością) iż ja twierdzę na mocy znanej daty urodzenia brata Opolczyka Henryka, iż sam Opolczyk urodził się r. 1330. Datę urodzin Opolczyka powtarzam za historykami szlązkimi, że ona jest bardzo prawdopodobną o tem upewnia mię ta okoliczność, iż przed r. 1337 t. j. przed urodzeniem się Henryka ujrzał światło Bolko młodszy brat Opolczyka i prawdopodobnie jedna z sióstr ich. Licząc więc na urodzenie człowieka przeciętnie 1½ roku do 2 lat powinien był szan. recenzent dojść, że data urodzenia Opolczyka t. j. r. 1330 jest prawdopodobną boć przecie 4 dzieci w przeciągu dwu lat z jednych rodziców urodzić się nie mogło! W zapytaniu więc p. G. „tu należałoby zapytać autora dla czego Opolczyk nie mógł się urodzić choćby w r. 1336« dojrzeć można nieświadomości krytykowanej rzeczy. A nawet i toby nie oczyściło recenzenta z tego zarzutu, gdyby przypuszczał iż Bolko na Opolu ojciec Opolczyka miał dwie pary bliźniąt!

Dalej zarzuca mi p. G. że wzmiankę Długosza, iż panowie małopolscy stawiali Opolczyka w r. 1339 na następcę po Kazimierzu wbrew twierdzeniu prof. Semkowicza uważam za faktyczną. Nigdzie tego nie powiedziałem, owszem mówiąc o tem wyraźnie piszę iż tylko Długosz to podaje.

Dalszym zarzutem szan. recenzenta jest to, iż nie podaję dlaczego z jakich powodów r. 1355 Opolczyk szczyci się łaską papiezką. Tego rodzaju żądanie dowodzi znowu, że szan. recenzent nie obznajomił się z zasobem materyałów, bo w przeciwnym razie wiedziałby, iż z suchego listu papiezkiego nie mając innych danych nie można niczego więcej nadto wysnuć, co ja wysnułem.

Opuściwszy najgłówniejszy zarzut recenzenta o nadaniu Rusi Opolczykowi o czem niżej pomówimy, przystąpmy do dalszych szczegółów.

Pan G. mówi, iz twierdzę stanowczo, że Opolczyk w myśl dyplomacyi króla Ludwika wprowadził na Ruś Czerwoną organizacyę węgierską. Ja z mej strony oświadczam stanowczo, iż szan. recenzent narzucił mi gwałtem tego rodzaju stanowcze twierdzenia. Ja wyraźnie zaznaczam w uwadze na str. 56, iż Opolczyk być może taką zaprowadził organizacyą na Rusi jaka była na Węgrzech. Czyż szan. krytyk nie umie rozróżniać stanowczych twierdzeń od przypuszczeń? Przypuszczenie zaś moje, dalekie od twierdzenia opieram na tem, iż w akcie Opolczyka z 22 lut. 1377 r. (A. G. Z. VIII Nr. XI.) jest wyraźna wzmianka, iż wsie, osady i miasta mogły posiadać także „ius ungaricum«.

Sporu biskupów lubuskich z stolicą apostolską nie nazywam nigdzie sporem tych biskupów z Franciszkanami, a choćbym i tak nazwał toć błędem by nie było, gdyż w spór ten byli wmięszanie Franciszkanie i oni ze swej strony skargi na biskupów lubuskich do papieży wnosili.

W dalszym ciągu ośmielę się przytoczyć zdanie recenzenta: „Bunt Detka uważa (autor) bezpodstawnie za reakcyą przeciw zmianom administracyjnym króla Kazimierza w ziemi przemyskiej, podczas gdy źródła mówią o nim jako o reakcyi części bojarów przeciw rządom polskim«. (Przedewszystkiem ja mówię o całej Rusi a nie tylko o ziemi przemyskiej). Zdaniem mojem byłto bunt przeciw zmianom jakie zaprowadził Kazimierz W. na Rusi, gdyby tak nie było, to niebyłby Detko poddając się r. 1341 królowi warował sobie wyraźnie by: prawa, wiara, obyczaje i zwyczaje ruskie były w całości i nienaruszeniu przez króla zachowane. A to zaś co podają źródła wcale się nie sprzeciwia memu zapatrywaniu. —

Nieco niżej pisze szan. recenzent, iż Kazimierza W. dobroczyńcę miast uważam za takiego pod którym miasta te upadły... etc. Pana G. odsełam wprost na str. 61 mej pracy; po uważnem przeczytaniu ustępu traktującego o handlu dojdzie do przekonania, iż ja takich niedorzeczności wcale nie piszę, gdyż mówię iż za Kazimierza handel stał bardzo wysoko, lecz od czasów jego śmirci do przybycia Opolczyka na Rusi podupadł bardzo!

Zarzuca mi dalej p. Górzycki, iż Jaśka Mazowszanina robię Rusinem. Że Jaśko był Rusinem dowodem na to to, iż jest tytułowanym »terrigena terrae Russiae«, prof. Dr. Lewicki (Obraz. Przemyśla str. 127) również zaznacza wyraźnie że Jaśko był Rusinem, a taki znawca rzeczy ruskich nie będzie bezpodstawnie czegoś podobnego twierdził.

Beńka z Żabokruk i Beńka Merbothę z Żyrawy uważam za jedną osobę. Niech szan. recenzent porówna akta Opolczyka z lat 1375, 1376. i 1377. Na starostwie przemyskiem zasiada 6 lipca 1376 r. Beńko Merbotha, 31 sierp. t. r. Beńko z Żabokruk, 12 marca 1376 r. Beńko Merbotha, 15 marca t. r. Beńko z Żabokruk a 21 lutego 1377 znowu Beńko Merbotha. Z jakiejby racyi następowały takie zmiany? czemuż w d. 12 marca 1376 zasiada jeden a za 3 dni drugi? To nasuwa na myśl że Beńko Merbotha a Beńko z Żabokruk są jedną osobą; co więcej, że na dokumentach w których znajdujemy podpis Merbothy nie występuje już Beńko z Żabokruk i na odwrót.

Dalszym zarzutem szan. recenzenta jest to, że po rozdz. IV nie naznaczam iż to jest pierwsza część rozprawy, i że w rozdz. IV nie robię reasumpcyi z dotychczasowej działalności Opolczyka, wskutek czego dalsze 3 rozdziały wypadły »zbyt blado«. Mojem zdaniem podział taki byłby niepotrzebny zupełnie. Wbrew twierdzeniu recenzenta, że Opolczyk jako wicekról Polski stoi u szczytu swej potęgi twierdzę, iż właściwy szczyt jego znaczenia jest roku 1384. Kiedyż bowiem jest większe znaczenie jego i kiedy posiada większą władzę, czy wtedy gdy jest tylko tytularnym i nominalnym wicekrólem, czy wtedy kiedy cała rodzina Andegawenów i Habsburgów składa w ręce jego losy Jadwigi i Wilhelma i kiedy szlachta polska na zjezdzie w Radomiu układa się z nim jako z księciem potężnym, mogącym wywierać stanowczy wpływ na sprawy całej Polski? Nadto upewniam p. G. że taka reasumpcya z działalności Opolczyka do r. 1378 nie wpływa wcale na opowiadanie dalszych rozdziałów, bo i bez dokładnej znajomości poprzedniego życia tego księcia, można by je napisać tak, by nie wypadły »zbyt blado«. Nie chcę owej bladości łączyć z wiadomościami recenzenta o owych czasach (1378—1402) to jednak dodam, iż p. G. robiąc taki zarzut powinien był przynajmniej wykazać na czem ta bladość właściwie polega.

A jeszcze jedna rzecz Szan. recenzencie, krytykując mą pracę nie przeczytałeś nawet Szajnochy, bo słowa »zdziczała płonka wielkiego drzewa Piastów« mnie przypisujesz zamiast jemu, choć wyraźnie są w przytoczniku naprowadzone! Nadto przeciąg dwudziestu lat w życiu człowieka uważasz za nic i dziwisz się bardzo jak mógł Opolczyk tak nagle t. j. po dwudziestu latach (1378—1398) zmienić się! Czyż rozmaite wpływy nie mogą zmienić uczciwego człowieka w przeciągu kilku lat na »zdziczałą płonkę«?!

A teraz przystąpmy do najważniejszej sprawy, t. j. do kwestyi nadania Rusi księciu Opolskiemu.

(Dokończenie nastąpi.)

Ernest T. Breiter.

KORRESPONDENCYE.

Kraków, *w Czerwcu 1889.*

Chcąc pojedyńczego lub zbiorowego człowieka poznać dobrze, wszechstronnie, trzeba widzieć jego zachowanie się w rozmaitych okolicznościach życia, stanowiących ogniową próbę zdolności, charakteru i energii. Częstokroć jednakże wystarczy tylko jeden fakt byle charakterystyczny, aby przekonać się dostatecznie o wartości człowieka. Takim faktem dla młodzieży krakowskiej jest ukazanie się i uporczywe mimo przeszkód i szykan utrzymywanie się „Ogniska". Zachowanie się kolegów krakowskich a raczej ich większości jest tak znamienne, że daje odrazu miarę moralnej i intellektualnej ich wartości. Nie wiadomo doprawdy, czy śmiać się, czy płakać.

Kiedy garstka, czująca potrzebę pisma sprawom akademickim poświęconego, podjęła myśl jego wydawania znalazła się wprawdzie pewna ilość Kolegów, którzy ich moralnie i materyalnie poparli, lecz większość zachowała się zupełnie indyferentnie, nie czując potrzeby takiego organu i nie wierząc w jego urzeczywistnienie się. Gdy jednak po wielu trudach i mozołach udało się nareszcie zbudować podwalinę dla akademickiego miesięcznika, gdy wyszedł pierwszy numer, cisnęło się na niego prawie wszystko, co żyje, sekundując dzielnie dzwoniącej na gwałt konserwatywnej i pseudo-postępowej prasie galicyjskiej.

Jednym nie podobały się zbyt wolnomyślne zasady — nic dziwnego, wszak większość akademików

krakowskich, to duchowe potomstwo galicyjskich klerykałów stańczyków. Drudzy nie mile zostali dotknięci śmiałym tonem, jakim młodzież zawsze powinna przemawiać — nic dziwnego, gdyż nie brak nam tak zwanych „strajchajłów“. Bardzo wielu rzuciło się na użytą przez „Ognisko“ terminologię, czy dla nich nie zrozumiałą czy też nową zupełnie, lecz największa ilość zapytała natychmiast o legitymacyą, o upoważnienie. Nic nie pomogło tłumaczenie, że inicyatywę do założenia pisma dał Wydział „Czytelni akademickiej“, uznawanej dotychczas przez większość za reprezentantkę młodzieży krakowskiej, że ten sam wydział wybrał redakcyę i obdarzył ją autonomią.

Istotnie podziwiać trzeba ten zapleśniały legitymizm młodzieży krakowskiej, którym większość tak zawzięcie walczy w przekonaniu, że staje w obronie swych pokrzywdzonych praw. Byli i tacy, którzy żądali zwołania wiecu akademickiego, mającego wybrać i zatwierdzić Redakcyę.

Żadnemu z tych zwolenników plebiscytu nie przyszło na myśl, iż wiec mógłby wybrać do Redakcyi ludzi myślą wydawania pisma zgoła nie przejętych i do takiej pracy niezdolnych, a pominąć z przyczyn osobistych ludzi tej idei oddanych a więc przedsięwzięcie całe w zarodku zabić lub spaczyć. Nie dziwimy się jednak temu wcale. Młodzież krakowska jest naprawdę doktrynerską i jak sobie z góry postawi jaką zasadę, to nie chce od niej odstąpić za żadną cenę, choćby z największą swą szkodą. Otóż ogół jest tego zdania, że nikt nie powinien przemawiać w imieniu młodzieży nie otrzymawszy od niej mandatu. Dotychczas miało to praktyczne zastosowanie przy tak zwanych występach „na zewnątrz“, gdzie wypowiadały się rzekome przekonania i programy młodzieży. To słuszne zresztą żądanie utrzymywania kontroli nad „reprezentantami“ chciano koniecznie rozciągnąć i na redaktorów „Ogniska“, zapomniawszy, że ludzie ci wcale nie mają pretensyi do reprezentowania młodzieży krakowskiej. „Ognisko“ nie chciało i nie chce być wcale organem oficyalnym, stojącym na żołdzie większości Kolegów krakowskich i reprezentujących ją. Przeciwnie podjęło ono walkę z tą większością i jej zapatrywaniami. To też żądanie tego stempla urzędowego i upoważnienia od wiecu zdradza wprost niezrozumienie „Ogniska“, które przedewszystkiem nie pragnie reprezentować większości młodzieży krakowskiej, lecz podjęło i rozwija hasła niepopularne i większości nie sympatyczne.

Zresztą należało zwrócić uwagę nie na legalność, ale na objektywną, naukową wartość wypowiedzianych zdań i wydrukowanych artykułów. Gdyby Redakcya była się zamknęła i od reszty odcięła chińskim murem odrębności i zniesienia wszelkiej dyskusyi, postępowanie takie byłoby zupełnie usprawiedliwione; ależ Redakcya przeciwnie na samym wstępie wezwała „całą uczciwą młodzież“ do współpracownictwa, do współudziału, objaśniając, że będzie umieszczać artykuły, wygłaszające najsprzeczniejsze przekonania, aby stworzyć ożywioną dyskusyą i porozumienie się. Każdy więc, godzący się, czy nie godzący subjektywnie z redaktorami „Ogniska“, winien był chwycić za pióro i śmiało a jasno wypowiedzieć swoje przekonanie. Taka walka byłaby i uczciwa i rozsądna i koleżeńska. Taka walka, wymarzona przez redaktorów „Ogniska“ byłaby wyrazem intellektualnej i moralnéj dzielności młodzieży krakowskiej, zdobyłaby jej szacunek i poważanie powszechne, dowiodłaby umysłowej żywotności i rozwoju. Lecz większość kolegów krakowskich wolała się chwycić innego środka tańszego i wygodniejszego. Pogardliwe traktowanie redaktorów, nazywanie „Ogniska“ za przykładem cieszącego się u większości akademików wpływem „Czasu“ pismem humorystycznem i zbywanie go niczem, to powszechnie przyjęta metoda. Pobłażliwe traktowanie „Ogniska“ zdradza nieudolność naszych przeciwników do uczciwej walki. Nie dla tego nie piszecie do „Ogniska“, że ono waszej pracy nie warte, ale dla tego, że nic napisać nie potraficie, że nie macie nic do powiedzenia, a jeżeli macie, to znowu nie umiecie temu nadać literackiej formy. Potraficie tylko powtarzać pacierz za panią matką, ale sami nie zdobędziecie się na nic. Co Wam daje prawo do potępiania redaktorów? Czyście sami cokolwiek zrobili czy co robicie? Oczy Wasze przywykły do ciemności, uszy do śmiertelnej ciszy, umysł do drzemki, a każdy dźwięk, każde przebudzenie się jest Wam przykre, jak nietoperzom i ćmom!

Odmawiacie nam prawa głosu! A czy Wy nie wiecie, że każdy kto ma już coś do powiedzenia, ma równocześnie nie tylko prawo, ale najświętszy obowiązek odważnie i jawnie wystąpić. Odmawiacie nam prawa głosu, a czy sami go macie! Przyrównałbym Was do niemowy, którego gniewają wszyscy głosem obdarzeni i każe im zamilknąć! Nie tak, nie tak moi najmilsi! Spokojna praca, wyrabianie sobie przekonań nie podoba się Wam, ale manifestacye uliczne i krzyki dla artystki, która Was ujęła pięknym ukłonem lub posłanym z desek teatralnych całusem to Wasz żywioł, to się wam podoba. To nic nie kosztuje, wszak myśleć nad tem nie trzeba, a każdy rodzi się z płucami i gardłem.

Cała prasa, z wyjątkiem jednego dziennika galicyjskiego, rzuciła się na nas bez różnicy zapatrywań, opinia publiczna zwróciła się przeciw nam, wśród profesorów mamy tylko nieprzychylnych, nareszcie Koledzy z wyjątkiem stu, lub nieco większej liczby idą w zawody z organami bezpieczeństwa publicznego w szykanowaniu swych własnych kolegów, których całą zbrodnią jest dobra wola i odwaga cywilna. — Nie wątpiliśmy ani na chwilę, że przyjdzie nam walczyć zawzięcie, ale nie spodziewaliśmy się nigdy u większości Kolegów złej woli i wprost chęci zgnębienia nas. Przeszło to nasze najśmielsze oczekiwania. Jeżeli jednak przypuszczacie, że to nas do pracy zniechęci, że skruszymy rylec i poczniemy gorzkie zawodzić żale — mylicie się. Walka będzie wrzeć dalej.

Warszawa. *w Maju, 1888.*

W warunkach wyjątkowych znajduje się wasz korespondent warszawski: o czynach dodatnich młodzieży pisać n i e w o l n o g d y ż z d r a d z i ł b y i l u d z i i s p r a w ę p r z e d o k i e m o p i e k u ń c z e j ż a n d a r m e r y i; często o czynach złych, a nawet nadużyciach rządu też pisać nie można, ponieważ z różnych powodów i to mogłoby nam w warunkach pewnych szkodzić.

Zmarł w tych dniach jeden z przedstawicieli nowego kierunku w Rosyi, hr. Tołstoj. Powiadam „nowego“ ponieważ do niedawna jeszcze stronnicy caryzmu i jego wykonawcy rekrutowali się z ludzi o małych zdolnościach, wiadomościach i — sumieniu. Tołstoj, był człowiekiem, bądź co bądź, wybitnym: w caryzm wierzył i z całą konsekwencją program wytknął któryby wiernopoddanych przez lata całe kształtował. Reforma gimnazjów, które dziś już owoce wydały

w całej zgrai wąsko myślących czynnowników — oto wielki czyn zmarłego ministra oświaty, czyn który opóźni chwilę dojrzałości mas pod berłem cara rosyjskiego pozostających, czyn przeklinany dziś, czyn który surowo potępiony przez historję będzie. Najsrożej jednak odbiła się reforma ta na nas, Polakach, którym nietylko kazano myśl oderwać od życia codziennego, od świata otaczającego, jego prawdy, uroków i bólów, każąc natomiast zgłębiać, niedostępne dla młodych piękno klasycyzmu, ale kazano jeszcze myśl z trudem wyrobioną, oblekać w formy mowy obcej. Jak się mógł rozwijać umysł dziecka, które n. p. uczyć się musiało słówek, dajmy na to, łacińskich lub greckich, praw gramatycznych. lub mowy zwrotów, kiedy mu je kazano porównywać z niewiadomą drugą — z wyrazem, prawem lub zwrotem, drugiej mowy obcej, mowy rosyjskiej. System ten koszlawił i koszlawi rozwój umysłowy młodego pokolenia, a krzywdę ztąd płynącą stawiam na równi z tym upodlaniem, jakiego szkołą — szkoła rosyjska w Polsce. Oto próbki środków upodlenia.

W tych dniach odbył się najważniejszy z egzaminów na t. z. „patent dojrzałości“ — egzamin w gimnazyach męskich z rosyjskiego. Temat ogólny (dla wszystkich 18-stu gimnazjów królestwa Polskiego) brzmiał: „Rozwój samodzierżawia w Rosyji i rozwój potęgi Rosyji“ Inaczej mówiąc, zmuszano młodych ludzi (przeciętnie 19—21 letnich) do sztucznego zbudowania, dowodzenia, że Rossja dla tego jest potężną, że car — bogiem i że upadek caratu — narodów cesarstwa rossyjskiego upadkiem.

W gimnazjach panuje zwyczaj wizytowania mieszkań uczniowskich przez nauczycieli. Z tych gorliwsi posuwają się do tego, że urządzają rewizje najformalniej policyjne w pokoju, gdzie uczeń mieszka, nawet w domu całym. Tym sposobem uczeń kryć się i kłamać słowem i czynem musi nie tylko w szkole, lecz nawet po za jej murami.

Wielce ciekawym i charakterystycznym jest nowy środek pedagogiczny przez pana ministra oświaty zalecony. Oto ogłosił on, że „najlepiej bronić będzie umysły młodzieży od złych wpływów — muzyka“.... Więc na gwałt we wszystkich gimnazyach zaczęto uprawiać naukę śpiewu i gry na różnych instrumentach — co prawda dotychczas w projekcie głównie, ponieważ pan minister dał radę, ale pieniędzy nie dał.

W uniwersytecie co raz to nowe prawa. Ostatnie głosi, że kończący wydziały: prawny, przyrodniczy i matematyczny podawać muszą specjalne rozprawy naukowe, które czytać będzie lektor języka rosyjskiego, a stopień ze znajomości tego języka stanowić będzie wiele o stopniu naukowym, jaki uniwersytet studentowi przyzna. Matematyk więc lub przyrodnik nie otrzyma stopnia kandydata nauk specyalnych, ponieważ po rossyjsku nie gładko się wyraża. Szczytną jest jednak sama stylizacya odnośnego paragrafu prawideł uniwersyteckich; prace naukowe, które nie powinny zawierać większych błędów naukowych, być zaś bez zarzutu pod względem czystości języka rossyjskiego.“

Tyle wiadomości z chwili bieżącej, wiadomości tyczących się młodzieży, z pominięciem, jak powiedziałem tego wszystkiego co sama młodzież robi — dla powodów wyżej przytoczonych.

Majowy zeszyt „Ogniska“ uznano za żywotniejszy o wiele od kwietniowego. Treść numeru świadczy o racyi bytu pisma i daje prawo pokładać w redakcji nadzieję, że „Ognisko“ rozwinie się do czynnika wpływającego na rozwój świadomości obowiązków, celu i środków pracy obywatelskiej śród młodzieży.

„Jednocześnie z różnych stron podnoszą się w „Ognisku głosy, które odpierają zarzut braku patrjotyzmu, jaki nam starsi, a nawet i ci „młodsi - starzy“ stawiają. Warszawscy odbiorcy „Ogniska“ uważają dyskusyę w tej mierze za zbyteczną nadal. Tych panów, którzy z patrjotyzmu biernego kozę dojną sobie zrobili, lub którzy patryotyzm w dobrobycie jednej klasy i zależności drugiej widzą — tych nie przekonacie, zresztą, tych przekonywać nie warto. Wystawiajcie raczej co więcej haseł dodatnich, te motywujcie, obgadujcie, a wszystko co szlachetniejsze, samo przez się skupi się pod sztandar dążeń ludzkich, uczciwych.

Młodzież nasza cierpi przedewszystkiem na brak ideałów. T. z. „liberalna“ część społeczeństwa górujące w Królestwie mieszczaństwo, na sztandarze pieniędzy wór wywiesza, krucyjatę głosi, wzywając do wyzyskiwania „rynków“ bądź pracy, bądź zbytu. Takie ideały „ludzi“ wśród młodego pokolenia wyrobić nie mogą i nie wyrabiają. Zwolennicy łatwego kultu walki o byt w jej najbezkształtniejszej, surowej formie, mnożą szeregi burżuazji, której panowanie tak haniebnie gnębi wszystko co szlachetniejsza myśl wolna tworzy.

U was w Galicyi, panują jeszcze prądy średniowieczne. O ideałach tego pokroju dziś mówić nawet nie warto. Możnowładstwo, panowanie rzymskiego duchowieństwa, brak wiedzy — krytykować u schyłku dziewiętnastego wieku — jest zbyt jaskrawym anachronizmem. Bądź co bądź, ideałów z tych wierzeń. jakie ma pokolenie starsze w serwilizmie austryjackim wychonane i w niby — liberalnych urządzeniach szczyt pragnień widzące, czerpać młodzież zarówno nie może.

W „Ognisku“ powinniście podnosić hasła, które dziś całą uczciwą i myślącą Europę nurtują. Nie przyjdzie wam to zbyt trudno, gdyż potężną w tej mierze pracę myśli i czynu mają za sobą tak społeczeństwa Europy zachodniej jak i Rossyji młodej. Bo tylko Polska tak głęboko zakorzeniony ma popęd do nierówności klasowych, tak nieszczęśliwą jest pod względem najelementarniejszych swobód politycznych, że w tyle po za innymi narodami pozostaje, a jeśli „papugą“ jest, to tylko mętów cywilizacyi i prądów zachodnich.

Dobry początek daje „Ognisko“, umieszczając list Mahrburga. Wstęp do listu wart obszerniejszego omówienia w organie młodzieży. Gorączka nabywania wiedzy jako fachu,. jako środka w walce o byt, tworzy z ludzi dziwolągi logiczne i moralne, które stanowią żywe pytajniki, jaką drogą wiedza mogła takie potwory wytworzyć. Przyczyna leży tu w tej formie w jakiej dziś wiedzę nam dają. Suche formuły, nieożywione wiarą w szlachetniejsze owoce wiedzy nad środek zarobkowania, urzędowy charakter stosunku nauczającego i ucznia — sprawiają, że wiedza li tylko podrobiona, fałszywa do uszów naszych dochodzi, a ta tylko tamuje młodzież od „lotów wyższych celów szczytniejszych.“

Jakkolwiek głos duchowy tej cząstki młodzieży, która głód taki czuć umie, zaspakajać powinniśmy po za murami urzędowego karmienia — mamienia raczej — umysłów naszych, zaspakajać ze źródeł pierwszych, jak chce Mahrburg, tem nie mniej dorywcze pytania chwili bieżącej rozwiązywać się dają jedynie w piśmiennictwie perjodycznem. Jeśli nie każdy chce, umie lub może czerpać ze źródeł wiedzy, ułatwiajcie młodzieży poznanie haseł ożywiających do pracy i poświęceń, zagrzewających te nowe pokolenia świata cy-

wilizowanego, które myśl porządku społecznego na prawdziwej równości opartego w czyn wprowadzą.

Każdy zaś kto czuć zdolen, komu serce tłuszczem nie obrosło, kto śmiało ważyć umie, dokąd go obowiązki człowieka prowadzić mają — każdy taki, gdy raz ujrzy blaski prawdy na zawsze jej drogą pójdzie.

Al. L. I.

Berlin *w Maju 1889.*

(Dokończenie).

II.

Przechodząc do skreślenia życia zbiorowego berlińskiej młodzieży polskiej wspomnąć muszę o dawnem „Towarzystwie literackiem polskiem na uniwersytecie berlińskim“, z którego wywiązało się następnie **„Towarzystwo naukowe akademików polaków w Berlinie“.**

Czasy istnienia tego ostatniego pozostawiły w gronie polaków berlińskich bardzo miłe wspomnienia przez wzgląd na ruchliwość towarzystwa na wewnątrz i ożywione stosunki z ogółem polskim stojącym poza obrębem Towarzystwa.

Rozwój dobrze zorganizowanego życia młodzieży nagle i najniespodziewaniej jednak wstrzymanym został. Znanym reskryptem ministra Gosslera z r. 1886 skazano Towarzystwo na zagładę a studentom polskim pod karą relegacyi zabroniono zakładania nowych towarzystw. Młodzież jednak należąca poprzednio do Towarzystwa umiała zastąpić sobie brak tegoż przez zgrupowanie się w mniejsze kółka koleżeńskie z zachowaniem celów i dążeń byłego Towarzystwa.

W krótkim stosunkowo czasie z kółek tych nic już nie pozostało. Dawni członkowie Towarzystwa nie zakrzątnęli się około przybywających w coraz znaczniejszej liczbie młodych kolegów. Ci zaś ostatni, trzymając się na uboczu, nie mieli lub nie chcieli wybrnąć z życia w rozsypkę dość dla nich z początku ponętnego, bo urozmaiconego rozrywkami półtora miljonowego miasta. Usunąwszy się od kolegów i w najlepszym razie biorąc się do pracy, poza zakres wykształcenia fachowego wyjść nie mogli.

Wracając do szczegółów o Towarzystwie zanotować mi wypada fakt znany, że na to się wszelkie wyjątkowe prawa stanowią, aby je obejść i ominąć można było.

W szeregu zakładów wyższych naukowych w stolicy Niemiec jedyny wyjątek stanowi „Akademja rolnicza“ pod tym względem, że nie jest zależną od ministerstwa oświaty, lecz rolnictwa. Do niej też nie przeniknęło sławetne rozporządzenie ministra oświaty, tamujące ruch Towarzystw akademickich polskich.

Skorzystano z powyższej okoliczności i gdy w początkach Listopada roku zeszłego liczba polskich słuchaczów agronomii okazała się dostateczną aby im dać prawo utworzenia Towarzystwa, nazwa i ustawy byłego towarzystwa naukowego przyjętemi zostały przez nowonarodzone stowarzyszenie.

Na zebrania tygodniowe Towarzystwa, liczącego z początku pięciu a następnie siedmiu członków, uczęszczać mógł ogół studentów polskich w charakterze gości z prawem zabierania głosu w dyskusjach, atoli bez prawa do głosowania. Możnaby więc dziękczynnie wygłosić: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie“.. Niestety, nie na wiele się to wszystko zdało.

Smutnie też przedstawia się działalność Towarzystwa za ubiegłe półrocze, lecz przynajmniej winy całej na Zarząd Towarzystwa zwalać nie należy. Więcej zawinili „goście“, od których Towarzystwo miało prawo spodziewać się życzliwego i szczerego poparcia. Na pierwszych, grudniowych zebraniach bywało ich przeszło 30, lecz w krótce jak szydło z worka wylazły na wierzch pretensje dawnych członków Towarzystwa naukowego i różne nie uwzględnione ambicyjki, co w rezultacie spowodowało pewne rozdwojenie w składzie zbierających się na posiedzenia kolegów. Przerwa podczas feryj noworocznych, trwająca w towarzystwie przeszło pięć tygodni, również nie mało przyczyniła się do tego, iż ruch w Towarzystwie zmniejszył się co najmniej o połowę.

Przyobiecane odczyty poczęto odraczać, prelegenci często-gęsto nie raczyli się zjawiać; zwrócono się do odpowiedzi na tematy składane do skrzynki zapytań, najczęściej bardzo jałowe

Żywotniejsze pytania uważano za stosowne przemilczeć. trzymając się maksymy, że strzeżonego Pan Bóg strzeże. Kwestyj objętych programami z odcieniem politycznym wyrzeczono się z góry; sprawy społeczne zaś nie były poruszane z tego względu, że w kierunku konserwatywnym zadziwiająca, wzruszająca nawet panowała jedność. Arcykomiczuemi były na każdem prawie posiedzeniu wzmianki o bacznem oku berlińskiej policyi, zwrócone na młodzież polską, (nota-bene oko sztucznie wprawione), przyczem władzy tej dostawało się sporo nieraz; dziwna rzecz jednak, że czasu na ten cel użytego nie obrócono na sprawę samą, do której debaty o policyi zawiązywano. Przyszłym „brandmajstrom“ wywołującym już za młodu — jak kominiarzów na niegrzecznych dzieci = cień policyi, od tej ostatniej za gorliwość ich słuszne należy się uznanie. Aby zarzutu tego dotyczącego lojalności wobec policyi za gołosławny uważać nie chciano, ograniczę się na przypomnieniu wniosków: o zawiązaniu stosunków z Towarzystwami polskiemi w Berlinie i akademickiemi w kraju i zagranicą; o projekcie ożywienia biblioteki przez czasowe składanie własnych książek do wypożyczania ich kolegom: o oficjalnem wystąpieniu Towarzystwa na pogrzebie ś. p. posła Magdzińskiego, etc.

Dodatnemi faktami z przejawów życia w Towarzystwie były: obchód wieczoru Mickiewiczowskiego, zbieranie składek na czytelnie ludowe, urządzenie przedstawienia amatorskiego z przeznaczeniem dochodu na bibliotekę i Bratnią pomoc.

Z odczytów najżywszą stosunkowo dyskusję, lecz nie na sam temat takowego, wywołały: „poezyje Kasprowicza“.

Z czynności Towarzystwa za semestr ubiegły otrzymacie później sprawozdanie szczegółowe.

Dotychczas takowego nie ma, ponieważ i Towarzystwa samego nie mamy, chociaż rozwiązazem nie zostało. Jakżeż to? zapytacie.

A no, rozsypało się. Na zapowiedziane bowiem ostatnie posiedzenie w półroczu zjawiło się tylko dwóch członków z zawiadomieniem, że pozostali między nimi i członkowie Zarządu, opuścili już w ciągu tygodnia bezpowrotnie Berlin, nie uważając za potrzebne zawiadomić o tem poprzednio Towarzystwo, ani za stosowne pożegnać się z kolegami.

Po rozwiązaniu się Towarzystwa naukowego biblioteka tegoż Towarzystwa przeszła prawie na własność posła Dra Mycielskiego, lecz po założeniu nowego Towarzystwa akademickiego, to ostatnie zostaje jej posiadaczem.

Wielka krzywda staje się tutejszym akademikom, że instytucya ta swego wobec stosunków berlińskich

znaczenia na odpowiedniej stopie utrzymać nie potrafi. A mogłaby się przecież stać dla nas ogniskiem życia zbiorowego, gdyby . . , gdyby nie opieszałość byłego Zarządu i zawsze ten sam indyferentyzm młodzieży berlińskiej. W roku zeszłym biblioteka liczyła zaledwie paru członków; agronomowie po utworzeniu Towarzystwa poparli ją, jak mogli. Pomimo że sprawa biblioteki kilkakrotnie na posiedzeniach Towarzystwa poruszaną była, liczba członków jej włącznie z członkami Towarzystwa nie dosięgła 20 osób. Wielu wstrzymała ta okoliczność, że Zarząd utworzony z akademików nie jest wybieralnym, lecz w razie usunięcia się jednego z członków pozostali wybierają z pomiędzy siebie prezesa, ten zaś dobiera sobie na skarbnika i bibliotekarza tych z kolegów, którzy mu się bardziej niż inni podobają, Ten cokolwiek zanadto patryarchalny sposób utworzenia Zarządu nie ograniczonego żadnym terminem, nie powinien jednak być branym pod uwagę, ponieważ liczniejsze zapisanie się akademików na listę członków zaradzić by mogło przez powzięcie odpowiedniej uchwały, w porozumieniu się z Drem Mycielskim, obecnym porządkom. Tymczasem trwa upór na upór, a sprawa ważna w łeb bierze. Kasa pieniądze posiada, lecz Zarząd, dbając o swych przyszłych prawnuków, o teraźniejszych członkach myśleć nie może; na książki i pisma wydatkować się boi, jak gdyby już po nas nastąpić miał potop i Polaków w Berlinie na lekarstwo zabrakło. Książek od niepamiętnych czasów nie przybyło, a biblioteka pod względem wartościowym obsolutnie zaimponować nie może.

W czytelni często tygodniami całymi leżały nierozcięte zeszyty Ateneum, Niwy, Kraju, Gazety lekarskiej i Djabła. Z pism codziennych przychodził Dziennik Poznański.

Od Nowego Roku przybył „Świat“, „Głos“ i prywatnie składana „Prawda“. Zaprenumerowany na wniosek jednego z galicyjskich „oryginałów“ „Czas“ zdaje się nie mieć powodzenia, gdyż z pod opaski nie zwolnione numery od Nowego Roku spory stos utworzyły. To też nowy Zarząd doszedł już do wniosku, że „Czas“ — to pieniądz, lecz zbytecznie na prenumeratę wydawany i od kwartału z przyjaźni swej skwitować go pragnie.

Po Zarządzie obecnym spodziewać się chcemy w ciągu półrocza letniego więcej sprężystości w zachęcaniu kolegów do zapisania się na listę członków biblioteki, w ułatwieniu im warunków korzystania z takowej, oraz w zakrzątnięciu się około powiększenia księgozbioru i ożywieniu czytelni.

Franciszek Hirszberg.

Dublany. *w Maju, 1889.*

Ziemia polska jest krajem przeważnie rolniczym, Galicya zaś w szczególności zasługuje na to miano, gdyż tu przemysł, w porównaniu z zachodem, jest bardzo nieznaczny, rzec można, znajduje się dotychczas w kolebce.

Do dziś dnia czarna rola jest głównym warsztatem pracy mieszkańców naszego kraju. Dziwnem się wobec tego wydaje, że społeczeństwo nasze tak mało dba o zakłady agronomiczne. Jedna jest tylko w naszym kraju polska wyższa szkoła rolnicza, lecz i nią mało co nasze społeczeństwo się zajmuje.

Zwiedzając zeszłego lata zachodnią Galicyę, a następnie Szlązk austryacki, przekonałem się, iż Niemcy więcej słyszeli o szkole dublańskiej i więcej się nią interesują, niż przeciętny nasz rodak; niejeden bowiem inteligentny Lwowianin, żyjąc o milę od Dublan, gdy się o nich wspomni, zapytuje, gdzie się one znajdują? czy nie pod Krakowem?

Smutną jest obojętność społeczeństwa naszego względem szkół rolniczych! Przyczynę jej łatwo jednak sobie wytłómaczyć; leży ona głęboko w obecnym stanie naszego społeczeństwa, a w szczególności klasy rolniczej. Potomkowie tych, którzy dawniej stanowili inteligencyę wiejską, tłumnie rzucają zawód rolniczy, przenosząc się do miast, sprzedając ziemię cudzoziemcom, bądź dla wygodniejszego życia w mieście, bądź dla nieszczęsnej u nas manii karyerowiczostwa. Ziemia przechodzi tym sposobem w ręce przeważnie nie rolników, lecz handlarzy, przez szereg lat wysysających z niej długoletni trud w nią włożony, a następnie pozbywających się jej z zyskiem. Niewielka zaledwie część większych właścicieli siedzi na wsi i zajmuje się rolnictwem, lecz i z tych wielu kształci się bądź na uniwersytetach krajowych, bądź na zagranicznych (jeżeli wogóle otrzymuje wyższe wykształcenie). Nic więc dziwnego, że wobec tych stosunków mało jest wśród naszej inteligencyi ludzi, którzyby czuli potrzebę szkoły rolniczej. Lud znowuż zaprawiony od wieków w ciężkiej pracy na siebie i pana, trzyma się wprawdzie dzielnie ziemi ojczystej, przesiąkłej krwawym jego potem, lecz ciemny i głodny nie czuje jeszcze potrzeby szkół rolniczych, w szczególności zaś wyższych.

Może kto powie, iż wyższa szkoła rolnicza w tych warunkach jest dla naszego społeczeństwa zbyteczną? Na to stanowczo odpowiem — nie; a to dla tego, iż stan dzisiejszy, w jakim się nasze społeczeństwo znajduje, jest przejściowym; upada wprawdzie szlachta, lecz świadomość wśród ludu wzrasta z dniem każdym i nie długo może czekać nam wypadnie na chwilę, w której lud wiejski uczuje potrzebę szkół rolniczych. Przyspieszyć tę chwilę — to zadanie wyższej szkoły rolniczej, a raczej tych, którzy ją kończą. To też dziś szkoła dublańska powinna mieć sobie za zadanie przyspieszenie tego procesu, który się w naszem społeczeństwie odbywa, procesu uświadamiania się mas. Młodzież tu kształcąca się, dziś nieliczna wprawdzie, powinna być czynnikiem, pod wpływem którego lud poczuć winien potrzebę oświaty, a więc i w pierwszym rzędzie szkół rolniczych. Tak więc pomimo chwilowo słabego zainteresowania się naszego społeczeństwa szkołą rolniczą, zakład dublański ma wielką racyę bytu, jako ognisko, z którego wyjść powinny jednostki, niecące prawdziwe światło wśród ludu — światło budzące go do czynnego obywatelskiego życia.

Dziś młodzież dublańska szczupłe stanowi grono, gdyż wszystkie trzy kursy liczą zaledwie ośmdziesięciu kilku słuchaczów. Pomimo tak nieznacznego ogniska młodzieży, są powody, przemawiające za zwróceniem nań baczniejszej uwagi. Jednym z nich jest fakt, iż nie ma polskiego zakładu, któryby grupował jednostki ze stron tak różnych naszego kraju, jak to jest w Dublanach; prócz mieszkańców Galicyi bowiem, stanowiących zaledwie $^1/_4$ część tutejszych słuchaczów, młodzież z zaboru rosyjskiego, więc: Królestwa, Litwy, Wołynia i Podola ma swych tu reprezentantów. Wszyscy bez wyjątku grupujemy się w jednem stowarzyszeniu „Bratniej pomocy.“ Towarzystwo to posiada znaczną bibliotekę, zawierającą do 2.600 dzieł i czytelnię otrzymującą przeszło 60 pism.

Pomimo, iż znaczne oddalenie od miasta, więc i większego ogniska młodzieży, nie dozwala nam na

tyle brać udziału w ogólnym jej ruchu, jakby to życzyć wypadało, jednak budzące się życie wśród całej naszej młodzieży i na Dublanach wyryło swe piętno.

Większe zajęcie się sprawą ludową jest cechą nowego kierunku. Wyrazem tych nowych prądów było założenie „Kółka etnograficznego" a także uchwalenie konkursu na dziełko dla ludu z dziedziny ekonomii. Fakty te są dowodem, iż nie brak nam ochoty do pracy jak nad własnem wykształceniem, tak też i na szerszem polu.

Cechą młodzieży dublańskiej jest, jak już powiedziałem, wielka różnorodność z powodu pochodzenia jej z różnych krańców dawnej Polski, a więc, co za tem idzie, rozmaitych warunków wychowania; to też przedstawia ona różne typy pojęć i przekonań. Ta różność przekonań więcej niż w innem ognisku młodzieży czuć się tu daje. Nic więc dziwnego, że powstają tu różne grupy, różne stronnictwa.

Stronnictwa są do pewnego stopnia oznaką ruchu i życia umysłowego, lecz dopóty, dopóki zachowują ten ważny czynnik prawdziwego postępu, jakim jest tolerancya przekonań. Wobec tego jednak, iż ten czynnik nie zawsze bywa zachowywanym, pożądanem byłoby, by młodzież grupowała się jedynie według przekonań i opierała prawdziwy postęp na swobodnem ich wygłaszaniu. O stronnictwach dublańskich jak również ich zaletach i wadach postaram się w przyszłości słów kilka powiedzieć.

Wilhelm Jelski.

Wiedeń, *w Kwietniu 1889.*

Ukazanie się „Ogniska" prawdziwą sprawiło nam radość a może będzie i zwrotem ku lepszej erze, bo teraz mając organ, za pomocą którego młodzież polska wszystkich uniwersytetów porozumiewać się może, zaginie pewnie ta dziwna niełączność, to dziwne na się niedbanie i ogólne zobojętnienie dla wspólnych spraw naszych. Słowa me nie są czczymi frazesami: każdego kto nieco bliżej zetknął się z uczącą się młodzieżą polską w Wiedniu uderzyć musiała ta niełączność jej i obojętnosć dla spraw wspólnych. — „Ognisko" jedyne polskie stowarzyszenie akademickie w Wiedniu liczy w swem gronie bardzo skromny procent młodzieży w Wiedniu przebywającej; która żądna łączności, żąda usłyszenia dźwięków ojczystej mowy garnie się do „Ogniska"; reszta chodzi luzem, obojętna na wszystko, lub dla czczej i głupiej dumy, aby nosić burszowską czapeczkę wstępuje do antisemicko-germańskich burszenszaftów, lub indyferentnych Corpsów. Nader opłakane stosunki. Wogóle o całej wiedeńskiej młodzieży akademickiej, do kilku dni jeszcze wcale wspominać nie było warto. Podzielona na kilkadziesiąt najróżnorodniejszych stowarzyszeń, z odcieniem antisemickim (Burszenszafty), prakatolickim (Austria, Norica), czysto semickim (Kadimah) lub na stowarzyszenia czysto „extremnational", do których nie przyjmowano innych jak tylko „ur-germanische" lub „ur-tschechische Gäste", przedstawiała ona ogromną masę studentów (przeszło 6000), w ciągłym zostającą ze sobą sporze i walce. „Urgermanin" czatował tylko na sposobność, aby mógł obrazić „Urczecha" i mieć z nim menzurę, Bursz chciał bić się z Kadimahnem. Stosunki te ciągnęły się w nieskończoność. Przed dwoma dopiero miesiącami bo 6 Kwietnia, zdrowiej myśląca cześć akademickiej młodzieży postanowiła założyć stowarzyszenie. któreby wystąpiło przeciw wszelkiej narodowościowej i konfessyjnej walce i wydała następującą odezwę.

Koledzy! Coraz więcej i więcej kolegów wśród naszego grona uznaje szkodliwość walki konfessyjnej, i narodowościowej. To spowodowało też pewną ilość słuchaczy wiedeńskiej wszechnicy do założenia stowarzyszenia, któreby było punktem zbornym wszystkich postępowych i wolnomyślnych studentów, chcących idee prawdziwego humanizmu urzeczywistnić przez pielęgnowanie nauk, szlachetnych zabaw i dobroczynności. Dnia 23 marca 1889 ukonstytuowało się stowarzyszenie pod nazwą „Oesterreichischer Studentenverein an den Wiener Hochschulen" które postawiło sobie za cel:

1) Pielęgnowanie nauk przez odczyty, założenie czytelni i biblioteki

2) Wspieranie ubogich akademików przez udzielanie zasiłków pieniężnych i lekcyj

3) Urządzanie wspólnych wieczorków i zabaw itd.

Stowarzyszenie występuje stanowczo przeciw każdej narodowościowej i konfessyjnej walce, jako z prawdziwym postępem niezgodnej. Ono przyjmuje studentów każdej narodowości, każdej religii do swego grona".

Odezwa ta, która przemówiła do serca bardzo wielu niezadowolonych obecnymi anormalnymi stosunkami, zgromadziła bardzo liczny zastęp młodzieży akademickiej na dniu 6 Kwietnia, w którym to dniu tak zwana „Gründungskneipe" się odbyła. Po powitaniu obecnych gości,[1]) przez przewodniczącego, stud. fil. Kadisch miał dość długą programową mowę, której treścią wyżej przytoczona odezwa, a która dość wielkie, między obecną młodzieżą wywarła wrażenie. Lecz biedni my zawsze mamy takie szczęście, że najlepsze i najgorsze nasze chęci wnet znajdą protektorów i przyjaciół, którzy mimo najlepszych chęci może miasto pożytku szkodę tylko przynoszą. Tak stało się i tu. Z zaproszonych gości zabrał pierwszy głos prof. Dr. Benedikt, który z radością powitał nowe stowarzyszenie, wyrażając zarazem ubolewanie, że jedynym jest on z profesorów, którzy przy obecnej uroczystości reprezentują „alma mater Rudolphina". Po nim przemówił Dr. Kronawetter, który na mocy wniosku, że sztuka i nauka są kosmopolitycznymi i obecnych do kosmopolityzmu namawiał, a znany tu obrońca Dr. Ellbogen wzywał wszystkich, aby ci już nie kosmopolitami, nie socyalistami, ale anarchistami się ogłosili i wzywał do walki, bo robotnicy stoją za studentami. Czy człowiek ten mówiąc to myślał tak rzeczywiście, czy też to były tylko czcze frazezy, dość że dzięki jeszcze przedziwnej grzeczności przewodniczącego, który Dr. Ellbogenowi jako gościowi głosu odebrać nie chciał, słowa te padły i pochwycone zostały przez wiedeńskie rewolwerowe dzienniki i z słów tych ukuto cały arsenał przeciw nowemu stowarzyszeniu, choć prezes kilka razy publicznie oświadczył, że stowarzyszenie ze słowami Dr. Ellbogena nic wspólnego nie ma. Prawdziwie też rozweselającem jest czytanie głosów o nowem stowarzyszeniu w wiedeńskiej prasie. Antisemickie dzienniki — przestrzegają przed zżydowieniem młodzieży, nie radzą wstępować do nowego stowarzyszenia katolikom, dla tego iż ono nie jest antisemickiem — niemieckie jak Neue Freie Presse zarzucają mu iż jest ono panslawistycznem, dla tego, że przewodniczący jest Słowianin, — czeskie, znów nazywa je czysto germańskiem. Dojdźżeż tu do końca! Młodzież jednak

---

[1]) Z polskich posłów zaproszonym był Dr. K. Lewakowski. ale niestety mimo najserdeczniejszego zaproszenia nie raczył on przybyć.

garnie się do nowego stowarzyszenia i dziś już jest ono najliczniejszem na uniwersytecie bo liczy przeszło 150 członków — a my tylko dodać mu możemy życzenie, vivat, crescat, floreat, bo ma ono piękne idee, i radzimy by nie popadło tylko w fale antisemityzmu lub pangermanizmu, wielce dziś na wszechnicy rozwielmożnionych.

W dniu 27 Kwietnia, odbył się pierwszy przez nowe stowarzyszenie urządzony wieczorek, na którym wygłosił odczyt „o temperamentach narodów“ polak Kol. Alt...

Ruch w stowarzyszeniach akademickich.

Akademiczne Bractwo jest jedną z najstarszych ruskich korporacyj akademickich, istniejącą od r. 1870 zaopatrzoną w bogatą bibliotekę a liczącą obecnie nad 70 członków. Towarzystwo to nazywało się pierwotnie »Drużnyj Łychwiar« i miało cel jedynie humanitarny t. j. wzajemnej pomocy materyalnej. Wnet bowiem, bo już w r. 1871 »Drużnyj Łychwiar« skoncentrowawszy w sobie wszystką prawie ruską młodzież postępową, musiał rozszerzyć swe ciasne ramy — a przezwawszy się »Akademicznem Bractwem« stał się punktem środkowym towarzyskiego i umysłowego życia studentów — Rusinów. Jeszcze w 1870 r. trzynastu akademików malkontentów założyło odrębne stowarzyszenie »Akademiczeskij Kružok«, który znalazłszy bezpłatne pomieszczenie w »Narodnym Domie«, odrazu wyraźnie zaznaczył swe moskalofilskie i konserwatywne tendencye. Jednak i tu z czasem znaleść się musieli ludzie szczerej pracy, którzy zgłębiając żywe, swojskie piśmiennictwo narodu ruskiego, jakoteż studyując tegoż historyę przekonać się musieli, iż muszą stanąć na gruncie narodowym, chcąc mieć racyonalną podstawę do pracy nad rozwojem Rusinów. Wyraz tej reakcyi dała młodzież w Kružku zgromadzona, wydając czasopismo »Druh« — w d. 9 i 12 Lipca r. 1876 przyszło do połączenia obu towarzystw. »Drużnyj Łychwiar« wziął na siebie część materyalnej pomocy a «Akademiczeskij Kružok« wytknął sobie jako cel pracę nad rozwojem rodzinnego piśmiennictwa. Zarodki jednak moskalofilskich „marzeń“ nie przycichły — wszczęły się spory językowe a członkowie »Akademiczeskoho Kružka« wstąpili na pierwotną drogę swych założycieli — a kiedy po upadku organu „Druh“ wystąpiła z „Kružka“ lepsza część młodzieży — wówczas »Akademiczeskij Kružok« począł coraz bardziej podupadać i wstępując na drogę konserwatywnych i moskalofilskich tendencyj, stracił sympatye żywszych i postępowszych elementów ruskiej młodzieży. Pracę podjętą w 1876 r. przez »Akad. Kružok« spełnia obecnie Akademiczne Bractwo.“ Ruch naukowy wzmaga się, ideje szerokiego postępu, nie zabarwionego fałszywym patryotyzmem i nie krępowanego ciasnymi ramami j e d n e j narodowości, znachodzą coraz liczniejszych zwolenników, z czem też łączy się i dążność do wszechstronnej nauki, do ogólnego wykształcenia. Członkowie Akademicznego Bractwa poczęli żywo krzątać się około wydawnictw literackich — zasług położono w tem nie mało, szerząc niemi świadomość narodową i zamiłowanie do rzeczy swojskich. Owocem tej pracy były następujące dzieła:

1. »Antologia ruska« w pamięć 10-letniego istnienia towarzystwa.
2. III. tom wydawnictwa »Ruskiej Biblioteki Onyszkiewicza«, obejmujący kompletny zbiór prac »trójki ruskiej« Szaszkiewicza, Głowackiego i Wagilewicza.
3. I. tom ekonomicznych prac Włodzimierza Nawrockiego.
4. Przekład Wilhelma Tella.

Ruch naukowy szerzył się i zapomocą odczytów, a te były dwojakiego charakteru: albo ściśle dla członków towarzystwa, albo też i odczytywano je przed szerszą publicznością w „Ruskiej Besidzie« na t. z. »wieczornicach«, — rozbudzając tem szerszy ruch i szersze zainteresowanie się sprawą.

I w tym roku nie zerwano z dobrą tradycyą — sekcya odczytowa poszczycić się może w swem sprawozdaniu następującymi danymi:

1. »O Zaporożcach«, czytał kol. Wełyczko.
2. »O rusałkach« w podaniach i ustnej literaturze ruskiego ludu, kol. Kolessa.
3. Krytyka programowej części Szczepanowskiego: »Nędza Galicyi«, czyt. kol. Budzynowski.
4. »O realizmie w powieściach Iwana Franka«, kol. Eu. Lewicki.
5. Ludowe typy u Turgeniewa, kol. Kolitowski.
6. Ruski ruch kobiecy w Galicyi i na Ukrainie, kol. Kolessa.
7. O porównaniach i symbolicznych obrazach w pieśniach ludowych, kol. O. Makoweja.
8. »O położeniu kobiet na wschodzie« kol. Hankiewicz.

Wspomnę jeszcze, że »Ak. Bractwo« wyda antologię poetów rusko-ukraińskich — do czego wybrano osobny komitet — praca ta wyjdzie w roku przyszłym. *E. L.*

KRONIKA.

Rektorem Uniwersytetu krakowskiego na rok szkolny 1889/90 wybrany został prof. Dr. Edward Korczyński.

Budowa domów akademickich. Sprawę budowy domu akademickiego we Lwowie podjęli profesorowie wszechnicy lwowskiej, którzy postanowili ze składek między sobą zarządzonych założyć dom akademicki w celu dogodnego pomieszczenia wszystkich stowarzyszeń młodzieży akademickiej, tak polskich jak i ruskich. Nadto dom taki zawierać ma pokoje gościnne dla chwilowo bawiących we Lwowie akademików, salę gimnastyczną, szermierzy, publicznych zebrań i t. d. Projekt ten od lat wielu poruszany przez samą młodzież nie był wykonalny dla braku środków materyalnych. Szlachetna ofiarność profesorów wprowadzi go niebawem w życie.

U nas sprawą budowy domu takiego zajmuje się komitet akademicki, złożony z reprezentantów wszystkich towarzystw. Do budowy jednak zdaje się jeszcze.... daleko. Fundusz zebrany wynosi zaledwie 300 złr

Wydział Towarzystwa Bratniej Pomocy słuchaczów politechniki we Lwowie (gmach politechniki II piętro, godziny urzędowe od 11—1 w poł.) poleca z grona słuchaczów politechniki konstruktorów, rysowników, korepetytorów i pisarzy w miejscu, zaś na czas feryi na prowincyę. Za kwalifikacyą poleconych osób ręczy się; informacyi i wyjaśnień udziela się bezinteresownie. Wydział Towarzystwa pośredniczy również przy polecaniu ukończonych techników w razie zgłoszenia się do bióra Towarzystwa z posadami dla takowych. —

Zapiski statystyczne: Na Uniwersytet Jagielloński w Krakowie zapisanych było w zeszłym roku szkoluym w półroczu zimowem 1227 studentów (503 prawników, 490 medyków, 96 filozofów 91 teologów, 47 farmaceutów); w półroczu zaś letniem 1154 studentów, (497 prawników, 446 medyków, 77 filozofów, 87 teologów, 47 farmaceutów.) W tym roku liczba zapisanych przekroczyła cyfrę 1300. Uniwersytet lwowski liczył w roku zeszłym w zimowem półroczu 1162 słuczaczy (648 prawników, 362 teologów, 152 filozofów i farmacetów.) w letniem półroczu 1092 studentów (630 prawników, 334 teologów, 128 filozofów i farmaceutów.) Na Politechnikę we Lwowie uczęszczało w roku zeszłym w zimowym półroczu 166 stud. (76 na wydział inżynieryi, 24 budownictwa, 41 budowy machin, 25 chemii tech.) w letnim 146 (65 inżyn. 19 budown. 40 bud. machin, 22 chemii tech.) Na Uniwersytet Wiedeński uczęszczało w roku zeszłym 5648 słuchaczy. między tem było 531 Polaków (326 medyków 142 prawników, 28 filozofów 27 teologów i 7 farmaceutów).

Odpowiedzi Redakcyi:

Kol. A. R. w Krakowie. Wiersz Wasz dobry; jeżeli uwzględnicie uwagi, które zaznaczyliśmy, z chęcią go wydrukujemy.

Kol. Wł. Arc. w Wiedniu. Prosimy o dokończenie przysłanej pracy.

Kol. Sz. w Wiedniu. Otrzymaliśmy. Rzecz spóźniona więc nie drukujemy. Za słowa uznania dziękujemy.

TREŚĆ NUMERU DRUGIEGO: Dział naukowy: Samokształcenie się w filozofii, list Adama Mahrburga (dokończenie); Teorya ewolucyi i paleontologia przez Tadeusza Wiśniowskiego. — Spawy młodzieży: Wycieczka i uwięzienie akademików w Ojcowie; Spóźniona sprawiedliwość. — Dział literacki: Toast, wiersz Gabryeli U...; Z wspomnień wczorajszych. przez Al. Li. — W Ognisku, od redakcyi. — Sprawozdania i krytyki: Das Schulwesen und seine Verwaltung, przez Dra Ferdynanda Źródłowskiego, ocenił W. F.; Odpowiedź Ernesta T. Breitera, autora dzieła »Władysław ks. Opolski« na recenzyę K. Gorzyckiego. — Korespondencye: Z Krakowa, z Warszawy, przez Al. L. I., z Berlina, przez Franciszka Hirszberga, z Dublan, przez Wilhelma Jelskiego, z Wiednia. — Ruch w stowarzyszeniach akademickich. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca *Wilhelm Schmidt.* Druk W. Korneckiego w Krakowie.